Rok II. Nr. 47 (96) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 23 listopada 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



A TERAZ KOLEJ DO SENATU...

Gwoli rozrywki melancholików...

W dzisiejszych czasach nie jest tak łatwo wziąć kogoś „na kawał". Najniemożliwsze brednie, które rozsiewała przez długie lata przedewszystkiem literatura, do takiego stopnia znieczuliły ludzi pod tym względem, że obecnie, już wszystkie podobne rzeczy przyjmuje się z pobłażliwem niedowierzaniem. Ostatnie zdobycze techniki ratują sytuację na odcinku kawałów „technicznych", tak że np. informacja o przesyłaniu zapachów przez radjo może ostatecznie liczyć na względne powodzenie. Bajki z innych zakresów jak np. o cudach przyrody, sztukach fakirów, życiu miljonerów i t. p., mogą liczyć na coraz mniejsze powodzenie.

Pisma europejskie starają się natomiast porwać swych czytelników opisami zwarjowanych rekordów amerykańskich (pod tym względem redakcje są bardziej pomysłowe od samych rekordmanów), ale i to już zawodzi. Krytycyzm posunął się na tyle daleko, że kiedy dawniej, za dogmat uchodziło to, co „stało wydrukowane", dzisiaj właśnie drukowanemu najmniej się wierzy. (Nauczyło tego doświadczenie).

Dawniej, co tu mówić, lepiej się działo piszącym. Pisało się, co się chciało, a ludziska, mlaskając językiem, albo też z ogniem w oczach (zależnie od rodzaju literatury), czytali i święcie we wszystko wierzyli. Na usprawiedliwienie tych cichych i ubogich duchem czytelników zaznaczyć należy, że i autorzy, bez względu na stopień prawdopodobieństwa swych pomysłów, również brali je na serjo.

Do jakiego stopnia dochodziła bezmierna naiwność i jednych, i drugich (piszących i czytelników), dowodzi dzieło, „uczynione" w roku 1745 przez xiędza Benedykta Chmielowskiego, a opatrzone zgrabnym tytułem:

Nowe Ateny
albo
wszelkiey scyencyi pełna
na różne tytuły jak na classes
podzielona
mądrym dla memoryału, idiotom dla nauki
politykom dla praktyki, melancholikom dla
rozrywki erigowana.

Według własnych słów autora jest to zbiór przedewszystkiem „wszelkiej sciencji pełen", służyć ma więc raczej ku nauce a nie zabawie. W rzeczy samej wszystkie „classes" czyli rozdziały owej „Akademji" traktowane są na serjo, a oświecać mają zarówno w dziedzinie geografji, historji, administracji, matematyki, zoologji i botaniki, jak również w wykładaniu snów, teologji, hieroglifiki oraz innych nauk i kunsztów. Aby zaś nie było wątpliwości co do „naukowego" charakteru dzieła, światły autor zaznacza wyraźnie: „iednym damom, iako też literatom tu się nie przysłużę, bo nie pański seymik, nie romanse, nie żywoty i nie przykłady piszę".

Zastrzega się autor, że wszystkie te mądrości nie są czerpane z jakowychś „szkolnych szpargałów, które częściey pod placki do piekarni, niż do Kleantesa zdradzą się latarni", ale z dzieł sławetnych mędrców całego świata, które xiądz Chmielowski sumiennie czytał i „tu i owdzie pożyczając, tu kupując, „zbudował kolumny i filary swych „Nowych Aten".

Rozpatrzywszy gruntownie różne problemata, jak „o lewiathanie rybie" o korabiu Noego, o syrenach (autor twierdzi stanowczo, że te piękne stworzenia istnieją) o kamieniu filozoficznym i wiele innych, opowiada ów mąż niespożytej wiedzy „o ludziach mirabilia".

A więc wylicza całą litanję „długożyjących" z Matuzalemem na czele, który miał żyć 969 (alkoholu, zdaje się, używa). W każdym, razie „letnieysi" są: Enoch, „który przeniesiony do rayu roku po stworzeniu świata circiter 984, Eliasz zaś wzięty roku post mundem conditum 3168, to iuż oba żyją po kilka tysięcy lat". To się dopiero nazywa podeszły wiek!



Piękne polowanie zostało wydane przez znanego przemysłowca francuskiego, Gaston Meuniera na czele gości, przybyłych na zjazd międzynarodowej rady łowieckiej. Na miocie — delegat Polski, hr. Zamoyski.

Inne osoby znowu, które acz nie dożyły wieku nawet Matuzalemowego, żywota swojego nie zmarnowały naprózno, bo taki Adam naprzykład miał synów 33 (ile córek niewiadomo), „Nombe, heroina chalcydycka w Eulei, sto synów miała z mężem. Lamisiusza, Longobardów króla matka dziewięcioro iednym powiła razem sukcessorów; Małgorzata, matka Florenciusza, hrabi Holandii razem wydała na świat 365, to iest ile dni w roku dzieci". Bardzo to mierny wynik w porównaniu z Machildą, hrabiną z Heunebergu, „która za Fryderyka II cesarza razem powiła 1500 dziatek".

Niejaka Matuzauna, Mexicanus miał 150 żon razem brzemiennych. Inny znowu „Taraguellus, Francuz, wodę tylko piiący miał dzieci 30, a ksiąg napisał sine numero; o którym syn powiedział, że gdyby moy ociec wodę w sobie nie gasił ognie, księgami i synami byłby świat napełnił".

Rekord w tej dziedzinie pobił jednak Origetorix, „szlachetny y bogaty pan w Helvecyi alias w Szwayczarach na 10 tysięcy osób z siebie rozmnożył, iednego, iako Juliusz Cesarz pisze in Commentariis". — Albertus Magnus świadczy, że w Niemczech „iedna matrona 150 wydała na świat potomków, dobrze uorganizowanych, wielkich na palec".

„W Polszcze Małgorzata, Wirzbisława hrabi żona razem porodziła w Krakowskiem we wsi Nakło żywych synów 36, roku 1270; nieiaka Czechna razem 60 dzieci porodziła, według Miechowity. Konrad, xiąże mazowiecki 106 miał synów".

Przeszli też na karty „Nowych Aten" zarówno zagraniczni jak i rodzimi „wieloiedcy". A więc: „Phagon, faworyt Aureliusza Cesarza codziennie surowego ziadał wieprza, u stołu sto bułek chleba, skopa y prosię, a wypijał beczkę wina".

„Świdrygieł, xiąże litewski zawsze sześć godzin siadał u stołu, 130 iadał potraw . — Bohdan na dworze Xiążęcia Ostrogskiego, woiewody Kijowskiego na śniadanie ziadał ćwiartkę skopa, pieczoną gęś, parę kurcząt, pieczeń wołową, syr, dwa chleby, trzy garnce wypiiał miodu. Na obiedzie 12 sztuk mięsa, cielęciny, baraniny, wieprzowiny niemało, kapłona, gęś, prosię, trzy pieczenie: wołową, baranią, cielęcą. Wina y miodu 4 garnce, oprócz piwa y gorzałki. Iadał smaczną y wieczerzę".

Inni znowu „okrucieństwem infames" zostali odpowiednio skarceni, jak Prokrustus, w Attyce rozbójnik, „który gości na łóżko zaprosiwszy, ieśli byli dłużsi od łóżka, nóg im przycinał, ieśli krótsi, naciągał. — Hypomenes ateński, córkę zastawszy na złym uczynku dał koniom zieść głodnym".

Wspomina też „o damach, które za męszczyzn się udały", jak Theodora Antiocheńska, druga Theodora Koryntyacka z domu nierządnego w stroju męskim chodziły. — Eugenia, Eufrozyna, Apollinaris, Pelagia, Antonina, Patricia, Atanazia, Suzanna, Anastazia, Poppula i inne, które wszystkie z instynktu Ducha św. dla konserwowania się w panieństwie w stroiu męskim między mnichami utaiły się.

Osobny rozdział poświęcony jest „inwentorom różnych w świecie kunsztów". A więc: Nieba y ziemi stworca y inwentor Bog. Sukni inwentor Adam, uwiwszy z liści, potym z futym z futra baraniego. Woyny wynalezca Kain. Okrętu inwentor Noe: Cretenses Neptunowi, Tertulianus Minerwie przypisuią statkow morskich inwencyę. — Trunku koffeo, vulgo caffe wymyślili Arabowie y Turcy z boku arabskiego albo egipskiego, bon zwanego, która caffa teraz y w Holandyi rodzi się przy ciekawości y industryi tamecznych obywatelow. — Sposób kowania koni wynalazł Leszek, xiąże polski, roku 997."

Ciekawszy jest wykaz, zawierający „impossibilia" czyli rzeczy niemożliwe do wykonania. Przytaczamy z nich niektóre:

„Danaidum albo Bellidum urnas implere. Danaides bowiem, Danna córki (50 ich było) a Bela wnuki za zaboystwo ciężkie mężow do piekła skazane, beczkę dziurawą nalewaią y nigdy nalać nie mogą."

Tego oto rodzaju mądrości, przeplatane często-gęsto łaciną (jako-że „polszczyzna skąpa jest w słowa wyboryczne i scientificzne") podawał xiądz Chmielowski „mądrym dla memorjału, a idjotom dla nauki". Nie wiedział tylko, że cała jego scyencya zrobi wielką uciechę najbardziej ponurym melancholikom, przewyższając w tym względzie niejedno pismo humorystyczne.

Nie należy jednak sądzić, że ówczesna elita umysłowa polska była tak uboga duchem, jakby na to dzieło omawiane wskazywało. Nie jest ono wcale dokumentem epoki. Kto jednak nie doszedł do takiego stopnia rozwoju intelektualnego, jak to było wówczas możliwe, a w „pracach" swoich opierał się na nowościach z przed lat tysiąca, nie mógł stworzyć nic lepszego niż „Nowe Ateny".

Exlibris.



Nowomianowani doktorzy „honoris causa" paryskiego uniwersytetu: M. G. Dewey, prof. z Columbji, T. Zieliński, prof. z Warszawy, M. Charlety, rektor akad. paryskiej, P. Zeeman, prof. z Amsterdamu.

Czy chce pani wyjść zamąż?

— Czy chce pani wyjść zamąż?
— Jak się pani zapatruje na wolną miłość?
— Jak sobie pani wyobraża życie małżeńskie?

Tego rodzaju ankietę ogłosił w Wiedniu komitet, zorganizowany podczas ostatniego kongresu Ligi reform seksualnych. Pytania skierowane zostały do studentek uniwersytetu, wyższej szkoły handlowej, kursów nauczycielskich i t. p. Rozesłano 300 kwestjonarjnszy, otrzymano 247 odpowiedzi.

Decyzję przeprowadzenia ankiety jedynie wśród dziewcząt z inteligencji, komitet umotywował w ten sposób, że osoby wykształcone lepiej orjentują się w sprawach, związanych z życiem społecznem, w kwestjach przesądów ludzkich i łatwiej mogą rozstrzygnąć wątpliwości życiowe. Czy pogląd ten jest słuszny, czy nie jedna prosta dziewczyna może wydałaby bardziej bezpośredni sąd o tych zagadnieniach, niż osoba, studjująca filozofję czy ekonomję polityczną w ciągu szeregu lat — postawilibyśmy pod znakiem zapytania. Ciekawe jest jednak, jakiej treści otrzymywano odpowiedzi na te, bądź co bądź, oryginalne pytania.

Ogromna większość zapytanych niewiast na pierwsze pytania odpowiedziała twierdząco: oczywiście, pragniemy wyjść za mąż! Jedna nawet z rozbrajającą szczerością odrzekła, że gdyby miała okazję do wyjścia zamąż za człowieka odpowiedniego, bez namysłu rzuciłaby w kąt wszystkie księgi o fizyce, trygonometrji czy kosmografji. „Przeznaczeniem kobiety jest kochać, być kochaną, mieć dzieci i wychować je".

Inna pisze, iż nie marzą o zamążpójściu jedynie dziewczęta z „wyschniętem sercem" stare panny, a jeżeli młoda dziewczyna „woli kolbę i retordy od szczęścia rodzinnego", to trzeba odesłać ją.... do psychjatry.

Trzecia zaopatrzyła swą odpowiedź następującym komentarzem: „Studjuję trzeci rok chemję; w gronie swych koleżanek, w dziewięciu wypadkach na dziesięć, rozmawiamy nie o reakcjach, ale o mężczyznach i sprawach zamęścia".

Z pośród 247 odpowiedzi tylko 14 dało odpowiedź negatywną: małżeństwo nie interesuje je! Jedną dlatego, że „przy dzisiejszym ustroju społecznym żona jest niewolnicą męża", druga boi się, że „małżeństwo to areszt domowy na długie lata", trzecia zbyt lubi książki, aby „zmienić je na pieluszki". Wreszcie jedna ze studentek oświadcza, że nigdy nie wyjdzie zamąż dlatego, iż „dotknięcie mężczyzny wywołuje w niej wstręt"! „Gdy pomyślę, że jeden z takich barbarzyńców z wąsami, lub może nawet brodą obejmie mnie, robi mi się poprostu niedobrze!". Ta to już chyba napewno nadaje się do psychjatry...

✱

Na drugie pytanie (jak się pani zapatruje na wolną miłość?) otrzymano 247 różnorodnych odpowiedzi. Gdy na pierwsze pytanie odpowiedź brzmiała: tak lub nie, to kwestja zagadnienia wolnej miłości dała pole do popisu najbardziej odmiennym zapatrywaniom.

Większość jednak odniosła się nieprzychylnie. „Jest przykryta pięknem słowem rozwiązłość płciowa", „pułapka, w którą wpadają naiwne dziewczęta", „niezarejestrowana prostytucja" i t. p. Jedna pisze, że wolna miłość to „djabelski wymysł mężczyzn wolnej miłości, twierna zgubę kobiet". W



Zwycięska „katarzynka" na mecie.

tury swojej jest „motylkiem fruwającym z dzi inna, wolnym jest tylko mężczyzna. Z nakwiatka na kwiatek", gdy dla kobiety wszelka miłość, nawet wolna, ma zawsze nie tylko fizyczne, ale i moralne następstwa.

„Popierałabym wolną miłość — pisze jeszcze jedna — gdyby prawodawstwo i społeczeństwo broniło kobietę, która padnie ofiarą takiej miłości, i jej dzieci. Jedynie w legalnem małżeństwie matka i dziecko znajdą obronę swych praw". Tylko 67 zapytanych opowiedziało się, z dużemi zresztą zastrzeżeniami, za wolną miłością. „W naszych czasach miljony kobiet ze względów ekonomicznych i innych, pozostają poza małżeństwem. Rozumowania o świętości ślubu są piękne, ale cóż mają zrobić te, dla których jest on niedostępny? Czy mają zejść ze świata nie doznawszy uczucia miłości?".

„Wolna miłość musi być uznana przez prawo — pisze jedna studentka — musi być równouprawniona z małżeństwem legalnem".

Jednakże przeważna ilość sądzi, że wolna miłość nie da nigdy długotrwałego szczęścia. Jak gdyby symbolem tych wszystkich zapatrywań jest odpowiedź jednej ze słuchaczek filozofji: „Niema wyjścia! Pragnęłabym szczęścia miłości, macierzystwa, lecz nikt nie pragnie się ze mną ożenić, a chwilowy związek może mnie uczynić nieszczęśliwą na całe życie"...

✱

Na pytanie, o tem jak wyobrażają sobie życie małżeńskie odpowiedziały wszystkie bardzo dokładnie — widocznie często i dużo myślały na ten temat. Każda marzy o życiu rodzinnem i jego radościach, nie myśląc o żadnych ciemnych stronach. Przeważnie jednak w marzeniach tych na pierwszem miejscu stoi nie mąż, a zawsze — dzieci.

Ciekawe, że ani jedna z pośród uczestniczek ankiety nie zadowolniłaby się jednem dzieckiem. Pragną dwójki, trójki a nawet czwórki i piątki... Jedna pisze: „Chciałabym mieć jak najwięcej dzieci — tyle, ile zdołalibyśmy z mężem wychować!" Inna zazdrości swej babce, która miała 12 sztuk potomstwa.

Małżeństwo bez dzieci uważają za bezsensowne. Dzieci są jedynym celem, sensem i „usprawiedliwieniem" małżeństwa. Pewna medyczka proponuje dosyć oryginalne prawo: jeżeli po upływie kilku lat małżeństwo pozostaje bezdzietnem następuje rozwiązanie małżeństwa, z samego prawa.

Kwestje materjalne w pożyciu małżeńskiem nie pozostały również bez echa. Wszystkie niemal odpowiedzi wskazują, iż dzisiejsze dziewczyny posiadają wielką dozę zmysłu praktycznego. Niema już sentymentalnych panienek, które marzą o „małej chatynce byle z ukochanym" — owa przysłowiona „chatynka" musi być zato urządzona według największych wymagań komfortu, elegancko umeblowana, z dywanami i t. p. Zaledwie piąta część, zapytanych przeszła do porządku dziennego nad kwestjami materjalnemi. Nie wiele myśli o tem, aby po ślubie współpracować z mężem i ponosić z nim razem koszty wspólnego życia. Jednak znalazła się i taka, zresztą jedyna, która w swych marzeniach pragnie wyjść za biedaka, aby swą pracą utrzymać jego i siebie.

Przeważna większość dziewczyn myśli o bogatem zamążpójściu. „Mąż musi dać nie tylko dostatek, ale i komfort". „Związać swe życie z biedakiem — to przecież niema żadnego sensu". Wszystkie marzą o automobilach, strojach, bogatych przyjęciach i t. p.

Takie, w ogólnych zarysach, są rezultaty ankiety o miłości i małżeństwie.

✱

Ankieta, która według prasy amerykańskiej dała wiele ciekawego materjału dla stosunków panujących, wśród młodych dziewcząt, dziwnie pokrywa się z prawem o małżeństwie, a raczej o konieczności małżeństwa.

Ulica, teatr, restauracja, dancing kryją tysiące niebezpieczeństw dla niedoświadczonych mężczyzn, którzy zbyt gorąco rozmawiając z młodą dziewczyną, są przez nią natychmiast pociągani do ołtarza, pod grozą wysokich odszkodowań pieniężnych, lub odpowiedzialności sądowej.

Z drugiej strony nagminne rozwody przeczą marzeniom młodych dziewcząt o trwałem szczęściu przy boku męża i w gronie dziatek.

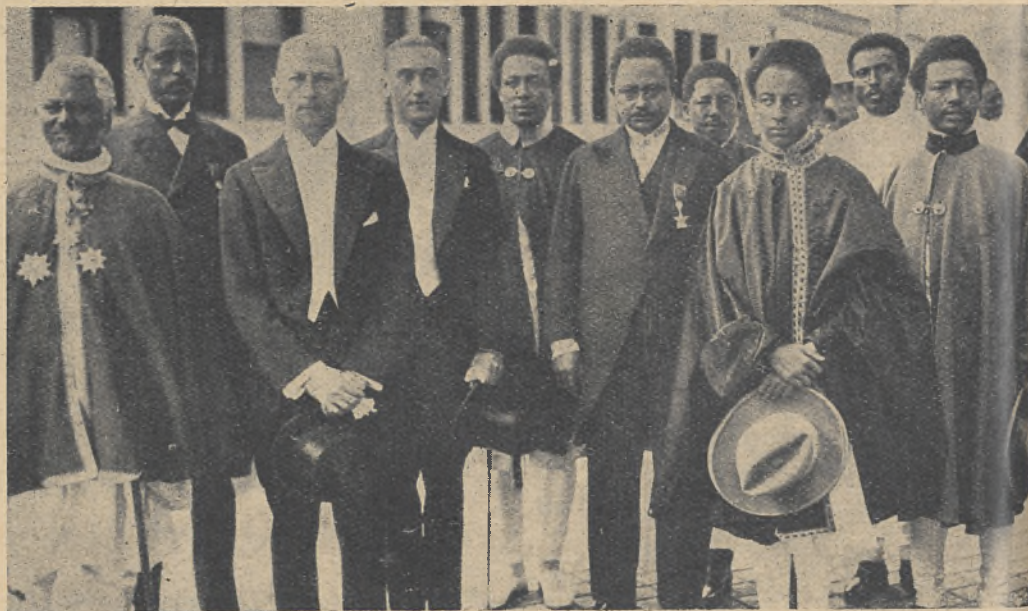
Oto kraj kontrastów, w którym najszczersze wyznania dziewcząt winny być wzięte pod uwagę z wielkiem zastrzeżeniem.



Tradycyjny dzień „katarzynek", w którym midinetki paryskie stają do zawodów o tytuł królowej pracownic igły. „Katarzynkę" nazywają starą pannę powyżej 25 lat.









Przybycie delegacji polskiej z pos. Dzieduszyckim na czele do stolicy Etjopji — Addis Abeba.

Najmłodszy rewolucjonista brazylijski, 12-letni Tomasz Camara, mężnie sobie poczynał w bitwach.

Skutki huraganu na francuskiem pobrzeżu Oceanu w Bretanji.



Paryska impreza wyścigu t. zw. „Resquillers", organizowana przez firmy Pathé Nathan, Paris Midi i Auto, polega na tem, iż zawodnicy wyruszają z Placu Zgody w przepisowym stroju i mają dotrzeć w zwykłem ubraniu do Moulin Rouge'u.



Suka „Maggie", która towarzyszyła wyprawie Byrda, i jej potomstwo, cieszą się powszechną sympatją.

SILNE LOTNICTWO TO POTĘGA POLSKI



Ś. p. dr. med. Bolesław Mioduszewski

Ś. p. DR. MED. BOLESŁAW MIODUSZEWSKI.

W kwiecie wieku, w pełni sił żywotnych, których nie zmogły lata, poświęcone walce o Wolność, zmarł przed kilkoma dniami ś. p. dr. med. Bolesław Mioduszewski, major rezerwy, kaw. orderu „Virtuti Militari" i potr. Krzyża Walecznych. Zmarły osierocił żonę i troje drobnych dzieci oraz liczne rzesze oddanych przyjaciół.

Pękło serce kochane i kochające, wskazując innym, jakim Polak być powinien, aby Polska szlakiem zwycięstwa iść mogła...

STRASZNA KATASTROFA W LYONIE

Miasto Lyon we Francji było niedawno teatrem strasznej i niezwykłej katastrofy. Oto mianowicie obsunęły się tereny, stanowiące skarpą wzgórza St. Jean, dominującego nad częścią miasta, burząc szereg domów i zasypując wraz z gruzami setki ofiar. Nocna pora zwiększyła grozę katastrofy i mimo, iż zmobilizowano natychmiast pomoc — przystąpiono dopiero do akcji ratowniczej nad ranem. Grupa 19 strażaków wraz z dwoma oficerami przypłaciła życiem tę zbożną pracę. Katedra w St. Jean została zamieniona na lazaret, w której udzielano doraźnej pomocy ofiarom. B. premjer francuski, Herriot, piastujący od kilkunastu lat godność prezydenta miasta Lyonu, kierował osobiście akcją.



Akcja ratownicza na gruzach zburzonych domów w St. Jean pod Lyonem.



J. MISIEWICZ.

Kradzież w sklepach czyli „Szopenfeld pospolity"

Trzy kategorje rozróżnic należy wśród przywłaszczających sobie różne rzeczy w sklepach: pierwsza kategorja to kleptomani, druga — to niektórzy kupujący, skądinąd ludzie na miejscu, którzy jednak pod wpływem chwilowej pokusy zagarną jakiś przedmiot przy sposobności kupna, trzecia wreszcie — to „szopenfeldziarze" czyli zawodowi złodzieje sklepowi. Rozgraniczenie to jest konieczne, szczególniej zaś między kleptomanami a pozostałemi dwiema kategorjami, zbyt bowiem życie byłoby wygodne, gdyby każdy wyrok wobec cudzej własności można było upozorować kleptomanją.

Chorobliwe skłonności do kradzieży, jaką jest kleptomanja, tak długo nie nastręczają wątpliwości co do swej istoty, dopóki całokształt okoliczności wskazuje w sposób oczywisty na to, że przywłaszczenie przedmiotów nie miało miejsca dla korzyści, a tylko dla samej satysfakcji kradzenia. Dość głośne było w swoim czasie wydarzenie, którego bohaterką była żona pewnego urzędnika francuskiego. Pani ta, zaopatrując się stale w jednym wielkim magazynie paryskim, płacąc regularnie i to pokaźne rachunki, zwróciła na siebie uwagę personelu sklepowego przez to, że miała szczególne upodobanie do wystawania przy witrynie z przyborami toaletowemi. Jakież było zdziwienie personelu, gdy pewnego dnia spostrzeżono, że pani ta pochwyciła ukradkiem i schowała pod palto zwyczajną gąbkę. Oczywiście, że zarządca magazynem miał zbyt wiele zmysłu kupieckiego, aby tak dobrej klijentce robić kwestję o głupią gąbkę, polecił jednak roztoczyć nad nią ściślejszą obserwację. I cóż się okazało? Oto, że pani ta, za każdą swą bytnością, uporczywie trwała przy zabieraniu gąbek. Rzecz oparła się ostatecznie o męża, który, zbadawszy sprawę, przekonał się, że żona jego ma jedną z szaf wprost nabitą różnego rodzaju gąbkami.

Wydarzenie to, dzięki swym wyraźnym cechom kleptomanji, nie nastręcza żadnych wątpliwości. Przed kilkoma laty, w jednej z pierwszorzędnych księgarń warszawskich przyłapano na kradzieży książki stałego klijenta, bardzo poważnego człowieka. I w tym wypadku rzecz nie miała dalszych konsekwencyj, a to dzięki właścicielowi księgarni, któremu żal było ciągać wielce statecznego skądinąd człowieka, chociaż podciągnąć ten wypadek pod kleptomanję było tem trudniej, że książka była snać dobrze wybrana, skoro należała do rzędu najdroższych. Zapewne, że przywłaszczenie sobie w sklepie książki jest jedną z najłagodniejszych form kradzieży, jednak posiada już jej znamiona, w każdym bądź razie w większym stopniu niż dajmy na to kompletowanie sobie bibljoteki drogą uporczywego niezwracania pożyczanych na prawo i lewo książek.

Pomimo wszystko, kradzież książki jest jeszcze w mniejszym stopniu karygodna, niż przedmiotów o bardziej zdecydowanej wartości użytkowej. Ostatecznie jest wszak pewna różnica między skrytem zagarnięciem książki, a dajmy na to kawałka koronki czy kuponu crepe de chine'u. Nie bez przyczyny przytem wybrałem tutaj dla porównania dział konfekcji damskiej, trzeba bowiem zaznaczyć, że przypadkowe kradzieże zdarzają się najczęściej w magazynach tej branży.


Rękaw palta „szopenfeldziarki" na końcu rozszerzony ze wstawionym klinem, tworzącym w ten sposób schowek dla skradzionych przedmiotów.

Tenże rękaw spięty na zatrzask.

Czy zdarzyło się Wam widzieć dziecko, wbiegające do składu zabawek, kurczowo zaciskające w swej piąstce pieniądze i rozognionemi oczami biegające po ladzie, półkach, szafach, pełnych przeróżnych śliczności? Podobnie wygląda niejedna pani, której zgromadzenie większego czy mniejszego funduszu umożliwiło wtargnięcie do magazynu. Pragnieniem swych oczu potrafi ściągnąć wypatrzony materjał z najwyższej półki, wyczarować na ladę choćby z samego dna gablotki najdrobniejszą ozdobę. A gdy już nagromadzą się tego stosy — otoczyć się tem ze wszystkich stron, zanurzyć, dotykać każdej sztuki, pieścić każdą rozkochanemi oczami — cóż to dopiero za rozkosz... Równocześnie zaś następuje i początek tragedji, bo gdyby to zakupienie całego magazynu było możliwe..., ale przy ograniczonych środkach, jak tu się zdecydować na wybór? Gdy tak „i to pachnie i to nęci", czy wiele potrzeba słabszemu charakterem, aby się skusić na zagarnięcie jakiegoś drobiazgu, na który „akurat" nie starcza gotówki?

Przejdźmy jednak do ścisłego tematu niniejszego feljetonu, t. j. do „szopenfeldziarzy". Mając zgóry ukartowany zamiar kradzieży, szopenfeldziarz wchodzi do sklepu zazwyczaj w towarzystwie wspólnika, którego zadaniem jest zajęcie uwagi obsługi. Tylko do licznie odwiedzanych wielkich magazynów, na tłumne wyprzedaże decyduje się szopenfeldziarz wkraczać samotnie, licząc na zwykły tłok, zamieszanie przy którem każdy niewinny kupujący może się stać dlań bezwiednie parawanem. Wypatrzywszy odpowiednią chwilę, kradnie najsposobniejszy przedmiot przy zastosowaniu tego czy innego sposobu, którego technikę przyswoił sobie do perfekcji. Cóż w obliczu takiej doskonałości ma począć kupiec, którego własności grozi niebezpieczeństwo? Oczywiście, przedewszystkiem uważać, jednak — co najważniejsze — umiejętności szopenfeldziarza przeciwstawić znajomość jego sztuczek. Spory jest łańcuch sztuczek, któremi sili się obmotać kupca szopenfeldziarz — rozdzielmy go na poszczególne ogniwa, aby utracił swą zdolność krępującą.



Kradzież sklepowa „na paczkę."

Najprostszym sposobem, który się nasuwa sam przez się, jest trzymana na ręku zarzutka z palta, pledu, chustki... Nie sposób zaprzeczyć, że przy uzbrojeniu się w taką zarzutkę nie jest rzeczą arcytrudną wetknąć do jej wnętrza, czy zręcznie umieścić pod nią jakiś ukradziony przedmiot. Ma jednak ten sposób tę wadę, że zarzutka rzuca się sama przez się w oczy.

Bardziej już nieznacznem jest posiłkowanie się złożonym parasolem, do którego tak wygodnie zsuwać można z lady jakiś upatrzony przedmiot, szczególniej jeśli się parasol zawiesi rączką na kontuarze, pełnym różnych drobiazgów. Niezgorzej może też posłużyć tu otwarty od góry koszyczek, który nawet nie odczuje przybytku jakiejś szpuli jedwabiu, zwoju wstążki czy nawet większej figurki.

Oprócz tych sposobów zwykłych, stosują nieraz szopenfel-

dziarze tricki bardziej skomplikowane, wykonywane przy zastosowaniu przedmiotów, specjalnie skonstruowanych. A więc przedewszystkiem niewinna na pozór paczka, w sposób nienaganny obwiązana sznurkiem, w rzeczywistości zaś pusta w środku, z jednym bokiem ruchomym, na podobieństwo drzwiczek: wystarczy postawić taką paczkę na ladzie, wepchnąć upatrzony przedmiot przez ten ruchomy bok, aby ukryć skradzioną rzecz, za którą bok się automatycznie zamknie. Odmianą tego jest sztuczna walizka, również wewnątrz pusta, a o tyle sprytniej urządzona, że odpowiednio skonstruowany otwór znajduje się u spodu: dzięki temu wystarczy postawić taką walizkę na upatrzony przedmiot, aby został przez nią wessany, niczem pył przez odkurzacz.

Niepoślednie usługi oddają szopenfeldziarzom specjalnie skonstruowane, szerokie rękawy. Są one u swego wylotu jakby zastawione poprzeczką z materjału, w kształcie klina, dzięki czemu wrzucony do wewnątrz przedmiot nie wyślizgnie się nawet wtedy, gdy ręka zostanie opuszczona; rzecz w ten sposób ukryta znajduje się jeszcze w pewniejszem schowaniu, gdy się wylot rękawa ściśnie przez zamknięcie przygotowanego w tym celu wewnątrz zatrzasku. Zwykła mufka mogłaby oddawać usługi podobne, gdyby nie była zarzucona od lat przez modę, ponieważ jednak idą posłuchy, że wchodzi znów w noszenie, przeto są wszelkie dane po temu, że w bieżącym sezonie odzyska i u szopenfeldziarek utraconą przejściowo pozycję.

Ze wszystkich sposobów szopenfeldziarskich najniebezpieczniejszym jest jednak trick „na kieszeń". Rzecz polega na tem, że złodziej czy złodziejka ma w podszewce palta wewnętrzne kieszenie, sięgające zazwyczaj od pasa aż do spodu okrycia; przytem nie są to właściwie kieszenie, w zwykłem znaczeniu tego słowa, a szerokie otwory, których dnem jest cały dolny obwód palta, ściślej zaś mówiąc linja zeszycia podszewki z wierzchem. Że w takich „kieszonkach" można umieszczać nawet sztuki materjału, to jest rzecz jasna. Szczególniej jeśli się przytem zastosuje t. zw. parawanik. Ten tak dowcipnie nazwany trick pomocniczy polega na następującem: oglądający jakiś materjał czy ubranie rozpościera go w powietrzu w obu rękach pod pozorem lepszego obejrzenia, starając się przegrodzić w ten sposób kupca od swego wspólnika kradzieży: za tym „parawanikiem" wspólnik może zastosować chwyt „na kieszeń" śmielej, niżby to mógł uczynić w warunkach zwykłych.

Wspomniećby jeszcze wypadało na zakończenie o kradzieżach drobnych przedmiotów przez wsuwanie za t. zw. biust. Mówię „tak zwany", gdyż wskutek panującej jeszcze dotychczas mody na panie szczupłe, więcej tam w tem nazwy, niż treści. Tem się też tłomaczy, że sposób ten został przez szopenfeldziarki naogół zarzucony, jakoże w sposobnem do wrzucania międzymiejscu nie tak znów wiele pomieścićby się mogło.

Czasy się zmieniają, a z niemi ludzie i sposoby.



Kradzież na podwiązkę.

PORY ROKU A URODA

Każda pora roku ma jużto dodatni, już to ujemny wpływ na urodę. Winniśmy przeto metodami zapobiegawczemi, przy pomocy środków nieszkodliwych a skutecznych, ochraniać ją przed przedwczesnem marnieniem względnie usuwać nabyte przypadłości. I tak np. ciepło pory letniej wpływa dodatnio na cerę, ujemnie zaś na skórę głowy, ponieważ z jełczejącego w cieple tłuszczu wytwarzają się szkodliwe dla korzonków włosów kwasy tłuszczowe. Zapobiec temu dziś łatwo, zobojętniając owe kwasy częstem myciem *skóry głowy* i włosów Shampoonem z przepisu D-ra Lustra, dostosowanym ściśle do koloru włosów. Każdy niemal zauważył obfitsze wypadanie włosów w lecie, tudzież szybkie złagodzenie objawów w czasie częstego mycia głowy Shampoonem Dra Lustra. Zaznaczam, iż myjąc głowę mydłem, potęguje się — wcieraniem kwasów tłuszczowych mydła w skórę — marnienie włosów. Również szkodliwie działają: nafta, dziegieć, a zgoła bezcelowe jest odtłuszczanie pudrem lub mycie żółtkiem jaja.

Dr. Zenon B.

MAX WITT.



Poświęcam Liptonowi.

— Czy to ostatnie słowa ojca?

— Tak jest, nie mam z tobą więcej o czem mówić...

— I ja także.

— Żegnam cię!

— Dowidzenia! Myślę, że się jeszcze kiedyś spotkamy.

— Tak, tak, w raju...

— Nie sądzę, musiałbym szukać Sz. Pana u Belzebuba...

— Precz, arogancie!... Jek śmiesz, smarkaczu?...

Stary Natan Matisson Smith niedwuznacznie podniósł masywny przycisk od papierów i bez namysłu rzucił nim w syna. W wyrodka, którego jedynem zajęciem były „kobiety, wino i śpiew", jak to nazywał patetycznie stary, w gronie najbliższych, podobnie szanownych i podobnie, jak on bogatych yachtmanów.

— Skończyłem wreszcie z tym darmozjadem — odezwał się z goryczą do swego ostatniego sekretarza, Bena Comptona, zwabionego krzykiem i hałasem do pokoju szefa. — A pana teraz dopiero djabli przynieśli, gdym się już sam uporał z tym wydrwigroszem... Dlaczegoś pan nie wszedł odrazu, kiedy wołałem ludzi, żeby wyrzucić tego bandytę?

— Ależ panie — bełkotał Compton — ja... ja... jakże mogłem? Rozmowa rodzinna...

— Kretyn z pana, skończony kretyn. Przyjąłem pana jedynie przez te przeklęte alimenty, ale teraz, gdym go wyrzucił, nie jesteś mi zupełnie potrzebny ze swoim obmierzłym pyskiem... Każ pan sobie wypłacić za trzy miesiące i żebym tu więcej nie widział żadnych Benów Comptonów.

— ?

— Czego pan jeszcze stoi?... Przecież powiedziałem...

W tej chwili drzwi do gabinetu Matissona otwarły się z trzaskiem wystrzału karabinowego i ukazała się w nich frywolna, roześmiana gęba Mattissona Juniora.

— No, Compton — zawołał, krztusząc się od śmiechu — czego stoisz? Straciłeś przecież posadę, lecz już otrzymujesz nową, gdyż zostajesz w tej chwili moim sekretarzem. Z pensją... z pensją powiedzmy... zresztą sam ją sobie określisz... Ruszaj się więc, stary byku...

Oczy Comptona upodobniły się do pary wspaniałych filiżanek kawowych, takie się stały wypukłe i okrągłe.

— Do pana? — spytał z niedowierzaniem — nie sądziłem, że panu potrzebny jest sekretarz. O ile wiem...

— Nic nie wiesz, dopiero się dowiesz — kończył Matisson Junior, przyglądając się z zaciekawieniem wspaniałym fioletom, które oblekły pokaźne i czerstwe oblicze papy, stopniowo wracającego do siebie.

— Jak śmiesz, nicponiu, wchodzić tu znowu — ryknął bawolim głosem — jak śmiesz zabierać mi urzędnika?!

— Bynajmniej — kpił najwyraźniej syn — sam przed chwilą mu odmówiłeś, słyszałem to dokładnie za drzwiami... No jazda, Ben, ganiaj do kasy po swoje trzymiesięczne odszkodowanie!

— Dobrze, panie, już idę...

Skłonił się grzecznie ojcu i synowi, i wyszedł posłusznie.

— Te pieniądze przydadzą się nam obu, staruszku — tłomaczył syn. — Do miłego zobaczenia!

Zasalutował okrywającemu się na nowo purpurą, ojcu i w podskokach wybiegł z pokoju.

— Łobuz!!...

Natan Matisson Smith nietylko był właścicielem największych na świecie plantacyj bawełny i pierwszym po Belgji eksporterem kauczuku na potrzeby Wielkiej Brytanji, ale wieloletnim i najznakomitszym prezesem Angielsko-Królewskiego Yachtklubu.

Trzydzieści lat temu, jako syn swego ojca Daniela, Rugby, Nataniela Matisson - Smith'a, podczas dorocznych anglo-amerykańskich regat na Miami, zdobył na swym yachcie, „PUNK 1" złoty puhar przechodni, ufundowany jeszcze przez Jej Królewską Mość Królową Wiktorję.

Było to niesłychane zwycięstwo. Imię Jego obiegło Amerykę i zelektryzowało Anglję.

Stary Daniel, Rugby, Nataniel, trojga imion, Matisson Smith padł wtedy w swem biurze, rażony ze wzruszenia apopleksją, zostawiając synowi równy miljon funtów gotówką i wielomiljonowe interesy.

Natan ożenił się i zaczął stopniowo podwajać swój miljon, pakując fantastyczne sumy w najnowsze, specjalnie dla siebie konstruowane yachty, które miały nadal utrzymać dla Anglji przechodni puhar Wiktorji.

Ale los chciał inaczej. Szczęście i tryumf trwało tylko rok. Jeden jedyny niesłychany rok.

Już następnego lata, gdy Natan pół godziny przed startem naciągał kliwer, zaplątany w linkach grotu na swym nowym yachcie, „PUNK 2", przyszła radosna wiadomość, ze został ojcem. Narodził się wtedy ten nicpoń Tom, ale przecież Natan nie mógł wiedzieć, iż Bóg go ciężko karze tym potomkiem, więc ucieszył się, ucieszył się, jak głupiec, jak bencwał, jak cieszy się w takim wypadku każdy młody, szczęśliwy i bogaty ojciec. Cóż mamy owijać w bawełnę, gdy huknął strzał pistoletu, puszczający yachty ze startu, rozradowane i nieprzytomne ręce Natana tak poplątały linki, że „PUNK 2", wspaniały yacht angielski ruszył z miejsca pod samym łokżaglem, wlokąc się dobrą godzinę, jak stary koślawy człapak, zanim naciągnęli rozcięte i naciągnięte na nowo liny kliweru i grotu.

Wszyscy już dawno brasowali do powrotu, gdy Natan, jak spóźniona strzała gnał dopiero do pierwszej kontroli. Straconego jednak czasu nie udało się niczem odrobić i puhar Wiktorji przeszedł do Stanów, ale Natan mógł się przynajmniej cieszyć przyjściem na świat Toma.

— Z temi narodzinami Tomka mógłbyś się przynajmniej dzień jeszcze powstrzymać!... — wyrzucał żonie.

A cicha Mabel nie odpowiedziała nigdy na ten zarzut i najbardziej nawet wtajemniczeni nie dowiedzieli się nigdy, czy biedna Mabel miała powstrzymać poród, czy wiadomość o nim.

Martwiła się tylko i nikła w oczach, w miarę jak przybywało Tomka i posunęła się tak daleko, że uważała za stosowne umrzeć w przedzień regat, na których Natan odebrałby z pewnością puhar tym zarozumialcom Wuja Sama.

Pogrążony w nieutulonym żalu po stracie żony i okazji do zwycięztwa wpadł w melancholję na wieść, że jego zastępca i kolega klubowy, Ward, uczynił wszystko co można, aby dokładnie strzaskać o skały „PUNK 2" przed samym finishem, w odległości mili od Miami.

Odtąd jednak rok rocznie przed regatami w Miami stocznia w Liverpoolu spuszczała na wodę nieskończenie doskonałe „PUNKI", oznaczane już wkrótce dwucyfrowemi liczbami.

Ale szczęście, raz wypuszczone z rąk, nie wracało do nich, nic nie chcąc wiedzieć ani o bólu, ani o stratach, ponoszonych przez Natana na fantastyczne przygotowania.

PUNK 3, 4 . . . . 10 . . . . i 22, aczkolwiek w coraz wspanialsze uzbrojone ożaglowanie, wykonane z dębu, mahoniu, cedru, cynku i duraluminjum — jednakowo przegrywały regaty, mimo nawigacyjne zdolności Natana. Zwyczajnie — prześladował go pech.

Napróżno Tomek, później zwyczajnie Tom, wreszcie rozpustnik i wyrodek błagał po powrocie z Oxfordu, by ojciec zezwolił wziąć mu udział w regatach.

— Zabierz mnie, zamiast Warda — błagał starego — zobaczysz, że jestem lepszy od niego...

— Tak, tak lepszy do żłopania wina — denerwował się stary — do uwodzenia dziewcząt, tylko nie do żagli...

A dziś właśnie, kiedy się dowiedział, że przestarzały wprawdzie „PUNK I", podarowany synowi w zeszłym roku został przez niego sprzedany za psie pieniądze Kanadyjczykowi Wiljamsowi, stracił ostatecznie cierpliwość i wygnał precz.

Wraz z synem stracił sekretarza. Przecież ten Ben Compton, cichy i małomówny Ben, doskonale znał się na nawigacji, on jeden mógł tylko doglądać budowy nowego cacka, cudnego, jak sen dziewicy „PUNKU 30", na którym w tym roku Natan poraz ostatni miał się pokusić o odebranie puharu Wiktorji.

— Niepotrzebnie się uniosłem, niepotrzebnie wymówiłem mu posadę — wyrzucał sobie po drodze do portu, gdzie przytransportowano „PUNK 30".

Własnoręcznie ściągnął plandeki i przelazł przez burtę.

Yacht błyszczał w promieniach zachodu wszystkiemi niklami swych okuć i polerowanem złotem miedzianych spojeń.

Natan opuścił do wody podniesiony ster' przerzucił go z burty na burtę, zajrzał do półotwartej kabiny, zatrzasnął ją starannie, przesunął palcem po lepkich jeszcze od świeżego lakieru zapasowych wiosłach i wylazł z łodzi na przystań. Teraz nie pamiętał o wszystkich przykrościach. Przeżywał wizję najbliższych regat. Rodziła się w nim niezłomna pewność, że „PUNK 30" zrehabilituje wszystkie stare, doskonałe — a przecież zawodne łodzie.

W tym roku zwycięzcą będzie Matisson Smith!

Oczami wyobraźni przerzucał płachty dzienników, na których rosły, kotłowały się i pęczniały grube, grube, coraz grubsze i tłustsze napisy:

ZWYCIĘSTWO! ZWYCIĘSTWO! ZWYCIĘZCĄ MATISSON SMITH!!

Gdy Natan w dniu regat otrzymał drukowany program zawodów, odrzucił go z pogardą, bo cóż go to mogło obchodzić przeciw komu stawał, — musiał jedynie zwyciężyć, i tyle.

Wczoraj opłynął trasę. „PUNK 30" był skończoną precyzją. Obaj z Wardem mierzyli zboczenia z kursu. Sto razy wykonali wszystkie przepisowe manewry. Mknęli na samym grocie bez foku. Oddawali się tylko kliwerowi i fali, dyrygowali w największym pędzie i nieskończoną ilość razy brasowali, aby sprawdzić po raz ostatni sprawność swego statku. Zgadzali się jednogłośnie, że wody oceanu po raz pierwszy miały zaszczyt przerzucać na swych zapienionych grzbietach takie niezrównane cacko, jakiem był „PUNK 30".

Wrócili o zmroku by nie oglądać yankesów, których gęby wydłużały się z zadrości. Matisson Smith był pewny swego.

Gdy dwadzieścia skrzydlatych łodzi stanęło na starcie i zadryfowało, opuszczając żagle na linji między bojami, Ward, ze swego stanowiska przy grocie, zawieszony na linie i z jedną nogą opartą na burcie krzyknął przeraźliwie:

— Ola, Natanie! przecież przy białej boi dryfuje „PUNK 1"!

— Jakto „PUNK"? przecież go kupił Wiljams od Toma...

— Otóżto, Willjams widocznie staje do regat. Dziad — na dziadowskim statku.

— „PUNK 1", to gruchot z przed trzydziestu laty.

Ale mimo wszystko serce Natana waliło nieznośnie. Na tym gruchocie zdobył ongiś puhar przechodni Królowej, a później na lepszych, doskonalszych... no tak prześladował go pech.

*

Z komandorskiej motorówki padł strzał.

Po minucie — nagie maszty i reje otuliły zwoje odwijanych gorączkowo żagli. Po drugiej — dwadzieścia yachtów, jak dwadzieścia srebrzystych łabędzi pomknęło przed siebie.

Statki szły ukosem w garbatą, nieżyczliwą dal Oceanu, kładąc się poziomo na kursie, wiedzione żelazną wprawą i rutyną starych wypróbowanych zawodników.

Już po kwadransie wyciągnięta i prosta linja smukłych dziobów wygięła się w łuk księżyca, wreszcie w krójkąt i w odwrócony klucz żorawi.

Najlepsze, najszybsze łodzie i najzdolniejsi marynarze wypychali się do przodu, podchwy-

tując każdy najskąpszy podmuch wichru, tężejącego teraz znacznie na otwartej wodzie. Korzystali z pędu fal, goniących w wiecznym, niekończącym się nigdy, wyścigu.

Uwieszony na prawej burcie, z lewą ręką na sterze — z prawą na linie fokżagla, Natan widział tylko wydęcie jego wielkiej płachty i grzbiety wciąż rosnących fal, na które wganiał, wdmuchiwany przez szkwał stateczek.

Ostre bryzgi siekły mu twarz i moczyły do nitki białą flanelową koszulę, która mimo chłodu parowała na nim, nagrzewana gorącem uznojonego i spoconego grzbietu. Ręka na rabancie drętwiała z wysiłku, drugą wyrywał szarpiący gwałtownie fok, ale „PUNKT 30" szedł jak parowiec. Ciął skiby dłuższe i szersze od komandorskiego kutra, malejącego z nawietrznej. Rwał przez szum i bulgot skotłowanej wody prosto przed siebie. W ostrym gwiździe napiętych linek mknął do celu, do zwycięstwa.

„PUNK 30" szedł na czele. „PUNK 30" był pierwszy, musiał być pierwszy, Natan mógł sobie pozwolić rozejrzeć się wkoło...

— Ale cóżto?... Czyżby doprawdy „PUNK 1", należący teraz do tego niedojdy Wiljamsa?... Tak, niewątpliwie, taki podwójny, pożółkły kliwer miał tylko przestarzały „PUNK I". Co się działo z tym starym gruchotem?...

Dumnie wznosząc swój staromodny dziób w niebo pruł z szumem falę, lub zsuwał się po niej, jak wysmarowany oliwą, po warjacku manewrując na kursie.

— Poco naprzykład teraz niepotrzebnie brasują, stracą z pewnością na tym zygzaku pół mili... Ale podejrzany łopot własnego kliwera oderwał oczy Natana od „PUNKU 1".

— Tracimy wiatr! — darł się Ward. — Brasuj! Brasuj! Szybciej, szybciej!

— Ach, więc wyczuli przedemną zmianę powiewu — orjentował się za późno Smith, brasując fok i przerzucając ster, jak na paradzie. Spóźnił się jednak o chwilę, o mgnienie i już przed sobą na własnym kursie miał ster „PUNKU 1".

— Jakże ten Wiljams teraz młodo wygląda — błysnęło i zgasło w mózgu Natana. — Ale muszę wyminąć ten gruchot, tarasujący mi drogę...

Przesunął ster o pół stopnia, aby szybko wyminąć tych dziadów, ale właśnie i oni uczynili to samo.

Wypuścił grot, przerzucił ster, i poddał linkę na mnichu. Teraz ich wyminie, z pewnością, lub rozwali prawą burtę, ale na „PUNKU 1" powtórzono ten sam manewr.

— Brasuj! — zawołał z rozpaczą Natan. — Brasuj, szatanie!

Trzepnęły puste żagle o reje i przeleciały na drugą stronę, lecz gdy wrócili na kurs, „PUNK 1" jak strzała mijał kontrolną boję i wspaniałym, najostrzejszym łukiem, jednym mistrzowskim przerzutem steru i żagli gnał już z powrotem do Miami, haftując za sobą kounsztowną brózdę na fali.

Natan Matisson Smith poczuł dziwny skurcz gardła. Czyżby znowu?...

— Boja!! — krzyczał Ward — boja!

— Brasuj!

— Gotowe!

„PUNK 30", niby koń wyścigowy, zawrócił prawie wokół osi, drżąc wszystkiemi spojeniami; jak żywe, czujące zwierzę, kładąc się zupełnie na fali, która z szumem przewaliła przez burtę, zostawiając kilkanaście kilogramów zbędnego balastu w niepotrzebnie otwartej kabinie. Pognali do mety...

— Prędzej! Prędzej! — komenderował Natan. — Uważaj na grot! Ściągnij liny! Ściągnij topsle! Wypuść! wypuść! — ryczał naprzemian, doganiając igrający przed nimi na fali „PUNK 1". Bawił się, jak delfin, ten stary „PUNK 1", stary zdezolowany gruchot.

Natan Matisson Smith rozpłakał się na ten widok.

Ryk entuzjazmu z wybrzeża powiedział mu, że „PUNK 1" pierwszy dobija do mola.

— Dobija i cumuje, — wyrzekł ponuro Smith. — Przeklęty, stary dziad!...

Już go nie cieszyły oklaski z jakiemi powitano jego własny wspaniały finish. „PUNK 30" przegrał. Wieczny, choleryny Pech pamiętał o swej ofiarze.

Teraz dopiero Natan spostrzegł, że cały jest zmoczony i podejrzanie szczęka zębami, ale natychmiast zapomniał o sobie na widok tłumu, otaczającego zwycięzcę. Rozdzierające wrzaski obrażały uszy Smitha, nie były wszak przeznaczone dla niego. Powlókł się leniwie, dla przyzwoitości, pozdrowić szczęśliwca.

Wtem nad głowami tłumu, trysnęły do góry wypchnięte dziesiątkiem rąk dwie białe postacie...

Natan Matisson Smith zamknął oczy i uszczypnął się w policzek. Czy śnił? Wszak znał obydwu... Poznawał przecież tego łajdaka Toma, a ten drugi, ten drugi, niewątpliwy rudzielec, to, nikt inny, Boże litościwy, jak Ben Compton...

— Niech żyje Tom Matisson Smith! Niech żyje! — buchnęły okrzyki i w ręce czerwonego ze wzruszenia Toma wtłoczono bezcenny puhar przechodni Królowej Wiktorji.

— Jak się masz stary, — zawołał z góry Tom, spostrzegłszy ojca. — Jak ci się podoba to cacko?!

I jednym skokiem, przez głowy rozentuzjazmowanych yankesów dopadł do ojca z wyciągniętą dłonią.

— „PUNK 1" — dobra skorupa, co? A Ben cudny chłop. Odkupiliśmy za jego trzymiesięczną gażę ten gruchot od Willjamsa. Łajdak na tym interesie zarobił czyste dwadzieścia funtów, ale zato puhar nasz! Zabieraj ten garnek, stary, przecież straciłeś go w dniu moich urodzin. Mogę ci go sprzedać wraz z „PUNKIEM 1" za równe tysiąc funtów. Uprzedzam cię, stary sknero, że dzisiaj z Benem nie mieliśmy już nic na śniadanie... To głód z nas skórę wyganiał, musieliśmy się spieszyć po nagrodę, żeby ją chwilowo zastawić w lombardzie.

— Mój chłopcze! — bełkotał stary. — Moi mili chłopcy, powtarzał nieprzytomnie, pieszcząc utęskniony puhar Wiktorji.

Uwaga! Uwaga! Obwoływały zachrypłe megafony. Zwycięzcą regat został Tom Matisson Smith na jachcie „PUNK 1". Drugie miejsce zajął „PUNK 30". Po trzydziestu latach nagroda wraca do Wielkiej Brytanji.

— Wiedziałem, że Matisson Smith odbierze stracony puhar, wiedziałem! — zawołał Natan. — Puhar królowej Wiktorji musiał powrócić do Anglji.

Hochstaplerzy

Marquis de Champaubert

II.

Zapoznajmy się z innym trickiem Champauberta Passala.

Passal, który zwykł był pod wszelkimi możliwemi i niemożliwemi nazwiskami występować, dając, z natury rzeczy, pierwszeństwo wyższym sferom towarzyskim, był od kilku miesięcy członkiem jednego z najbardziej arystokratycznych klubów Paryża.

Tego wieczoru toczyła się pomiędzy siedzącymi przy narożnym stoliku pięcioma panami poważna rozmowa, która od czasu do czasu zanosiła się na kłótnię.

Twarz jednego z tych panów, pułkownika Jamais, była ciemno czerwona. Temat rozmowy był dla jego poglądów żołnierskich wprost irytujący. Zdawało się też, że czuje on pewną antypatję do swego vis - a - vis, które dało decydujący powód do tej rozprawy. Był to baron Claude Clément.

— Sto funtów angielskich otrzyma pan ode mnie, panie Clément, jeżeli się uda panu przez zademonstrowanie udowodnić, że teorja pańska przenoszenia myśli, albo jak pan te bzdury nazwać chce, — jest wiarygodna!

Baron Clément, ostro spojrzał na starego wojaka. Całą powierzchownością zdradzając światowca, był on jednak tylko pewnej części wielkiej liczby członków znany.

— Niczego od pana nie chcę, panie pułkowniku — odparł z lodowatym spokojem. — Ale o ile pan pragnie stracić, jestem gotów pójść o zakład na podwójną sumę. Ca va? Nie podnosząc się z krzesła, dowiodę panu, że przenoszenie myśli jest faktem w praktyce do przeprowadzenia. W razie zgody z pańskiej strony, panie pułkowniku, zechce może pan d'Aimable łaskawie przyjąć na siebie rolę sędziego?

Pan d'Aimable, rześki starzec, kiwnął na znak zgody, wobec czego stary choleryczny pan, z wyrażeniem swej zgody nie zwlekał. Wszyscy otoczyli grających zwartem kołem.

— Nie mam zwyczaju nosić przy sobie pieniędzy — uprzedził baron. — Mam nadzieję, panie pułkowniku, że panu czek wystarczy.

— Nie mam zwyczaju kwestjonować czeków członków mego klubu — zgodził się pułkownik.

— Pardon! — przerwał hrabia de Bergère. — Czy mogę się też przyłączyć? Chciałbym w zakładzie tym wziąć udział. Ale nie mam ani pieniędzy, ani książeczki. Czy zechce pan, baronie, wystawić czek za mnie?

Baron uśmiechnął się nieznacznie i pełen oczekiwania spoglądał wokoło siebie.

— Może jeszcze ktoś z panów przyłączy się?

I istotnie, za chwilę niewielka stosunkowo suma wzrosła do rozmiarów małego majątku.

Kiedy wreszcie baron stwierdził, że nikt więcej nie zgłasza się, poprosił:

— Może któryś z panów będzie tak grzeczny i zechce zadzwonić do służącego? (W międzyczasie wypełniał czeki, które panu d'Aimable podsunął). — Przynieś mi pan nową talję kart! — rozkazał wchodzącemu, w liberję odzianemu służącemu. Ten wrócił prędko z żądanemi kartami.

— Pan d'Aimable otrzymuje tę talję kart.

Pan de Clément oparł się na swym fotelu

— Rozpocznijmy eksperyment!

Namyślając się, zwlekał przez kilka sekund. Ujmujący i uprzejmy uśmiech ani na chwilę nie opuścił jego ust.

Natężenie było wielkie. Wreszcie rozpoczął:

— W tem mieście znajduje się pewna dama, z którą, jak się to mówi — jestem złączony myślami — co w danym wypadku oznacza, iż mogę jej coś przesłać lub od niej przyjąć, powstaje zjawisko, które określamy jako falę myśli. Celem sprawdzenia prawdziwości moich wywodów, prosiłbym naszego, tak uprzejmego pana d'Aimable, talję kart otworzyć — jedną kartę wyciągnąć, wręczyć mi, nie spojrzawszy na licową jej stronę! Wówczas podam panom numer telefonu i nazwisko owej pani, do której pan lub dwaj niezainteresowani panowie zatelefonują i zażądają od niej określenia tej

karty, o której ja myśleć będę. Jeżeli określenie owej pani trafnem się okaże — a ani panu, ani też żadnemu z towarzyszących mu, nie wolno do pańskiego powrotu wyciągniętej karty oglądać — czy będą mógł wtedy stwierdzić, że wygrałem?

Pułkownik kiwnął. Sędzia oświadczył:

— Bez wszystkich za i przeciw uważam warunki za uczciwe i przeciwko jakiemukolwiek trickowi zabezpieczone.

Clément spojrzał na wojaka.

— A pan, panie pułkowniku?

— Wszak wybrałem już pana d'Aimable na sędziego! — odparł zgryźliwie.

Przez rysy barona przebiegł ponury cień.

— Dobrze! — odezwał się krótko.

Gdy Aimable na chybił-trafił, z talji wyciągniętą kartę mu podał, Clément wyrwał kartkę ze swego notesu i nakreślił jakiś numer telefonu.

— Proszę pana, panie d'Aimable, wybrać sobie osoby, które mają towarzyszyć, i z notowanym numerem się połączyć. Proszę zapytać o madame Fleuron... Jednocześnie rzucił mocne spojrzenie na tego drugiego.

— *Madame Fleuron* — powtórzył z naciskiem.

Niebawem usłyszeli pozostali, jak drzwi rozmównicy telefonicznej, znajdującej się w hall'u otworzyły się i w tej samej chwili zadźwięczał rozkazujący głos barona Clément:

— Proszę o ciszę!...

Głowa jego przechylona była w tył. Białe, wąskie i prawie przezroczyste ręce przyciskał do oczu. Żyły na jego wysokiem wąskiem czole tężały do grubości sznura. Coś anormalnego, coś odpychającego było w tem oddaniu się przymusowi, jaki go opanował.

Cisza na sali stała się tak uciążliwą, że każdemu zdawało się uderzenia własnego serca słyszeć. Niemile obrzucali się nawzajem wzrokiem. Poza w wytężeniu siedzącego mimowolnie nasuwała przypuszczenie o istnieniu nadzmysłowych sił i władz.

Jedynie uśmiechał się drwiąco i ironicznie Henry Boulogne, młody, widocznie bardzo zamożny pan, o cokolwiek zużytych rysach twarzy. Przeczytał po przez plecy Aimable'a numer telefonu na kartce, jaką ten w ręku trzymał — numer H 4 Panthéon 4262. Ten numer czterdzieści dwa — sześćdziesiąt dwa znał aż za dobrze!...

Numer Panthéon 4262 należał do Mlle Gussy Héribal. Mlle Gussy, w której gościnnym domu Henry Boulogne przypadkowo i niecałkiem niechętnie do gry się stawiał; piękna, rasowa, pełna temperamentu niewiasta w kwiecie wieku, wielokrotnie z drwiącym uśmiechem oświadczała, że w komedje spirytyzmu, działania na odległość, naprzyrodzonych sił i temu podobne „zgniłe czary" nie wierzy... Ponadto dodała, że ludzie, którzy się temi rzeczami zajmują, chcą oszukiwać...

Aimable powrócił ze swymi dwoma towarzyszami.

Gdy wysokie drzwi się otworzyły, pułkownik Jamais podniósł oczy.

— No i cóż? — brzmiało jego drakońskie zapytanie.

Aimable, którego twarz miała wciąż obojętny i bezinteresowny wyraz, oświaczył:

— Dama ta zdawała się przez chwilę być niezdecydowaną...

Jedynie baczny obserwator, jakim w danej chwili był Boulogne, mógł zauważyć w rysach Clémenta niezwykłe naprężenie.

Pierwsze orzeczenie tej pani brzmiało: „As pik". Baron Clément przymknął oczy, odrzuciwszy głowę w tył; na czole perliły się niewidoczne krople potu.

(D. c. n.)



W tych dniach odsłonięto w Belgradzie pomnik „Wdzięczności Francji", dłuta największego rzeźbiarza jugosłowiańskiego Ivana Nestrovica.

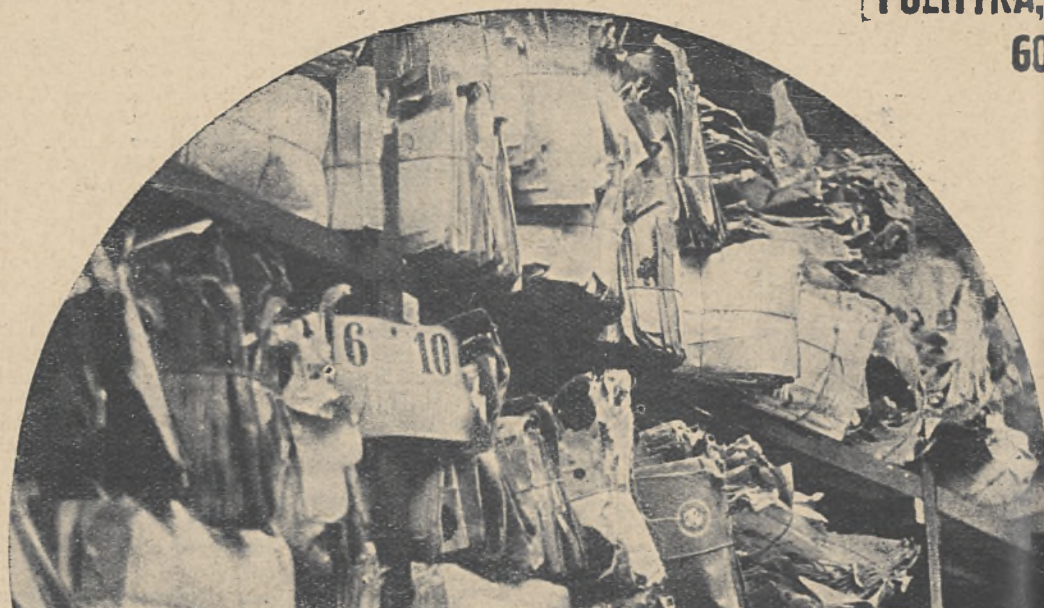
POLITYKA, CZAGADNIENIE GOSPRCZE

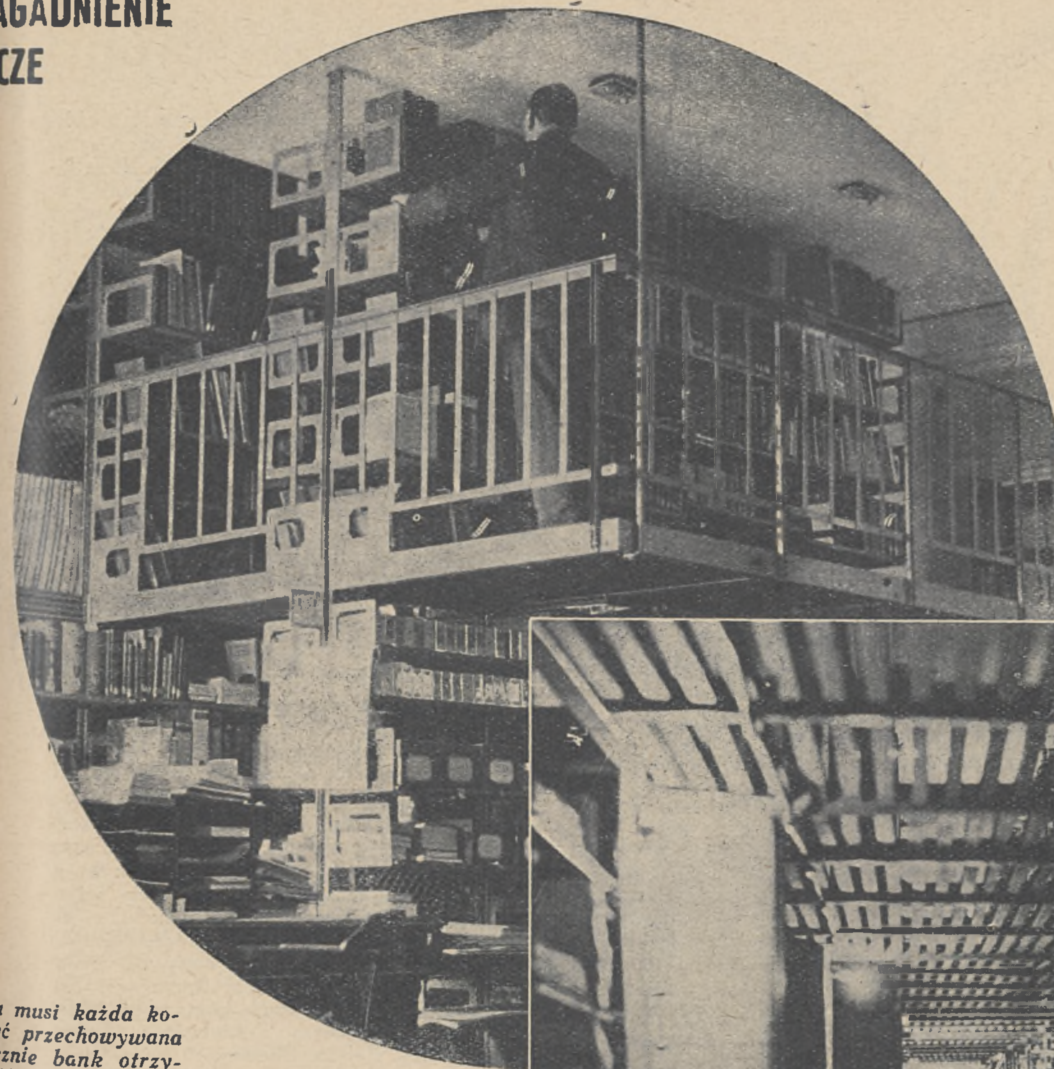
Politique d'abord (przedewszystkiem polityka) — oto hasło, które wysunął w swoim czasie przewódca nacjonalistów francuskich, Charles Maurras, na co nazajutrz po wypowiedzeniu wojny, Rathenau odpowiedział: *Wirtschaft ist Schicksal* (decyduje gospodarka).

I oto dziś znowu na łamach „Vossische Ztg.", były minister skarbu Rzeszy, Reinhold, przytacza hasło Rathenau'a, nawołując do upoządkowania stosunków gospodarczych w kraju.

Bo chociaż niemiecki genjusz organizacyjny zdołał doprowadzić do idealnej niemal koncentracji twórczych wysiłków narodu ,powołując do życia potężne koncerny, w których zgrupowane są najróżnorodniej zazębiające się interesy i którym przeciwstawia się inna zwarta—masa pracowników, skupionych w t. zw. *Gewerkschaften*, to jednak sytuacji bynajmniej nie należy uważać za pomyślną.

Depresja gospodarcza pogłębia się z każdym dniem i ekonomiści niemieccy widzą jedyną deskę ratutnku, w przyciągnięciu większych kapitałów zagranicznych, o charakterze inwestycyjnym — kredytu długoterminowego.



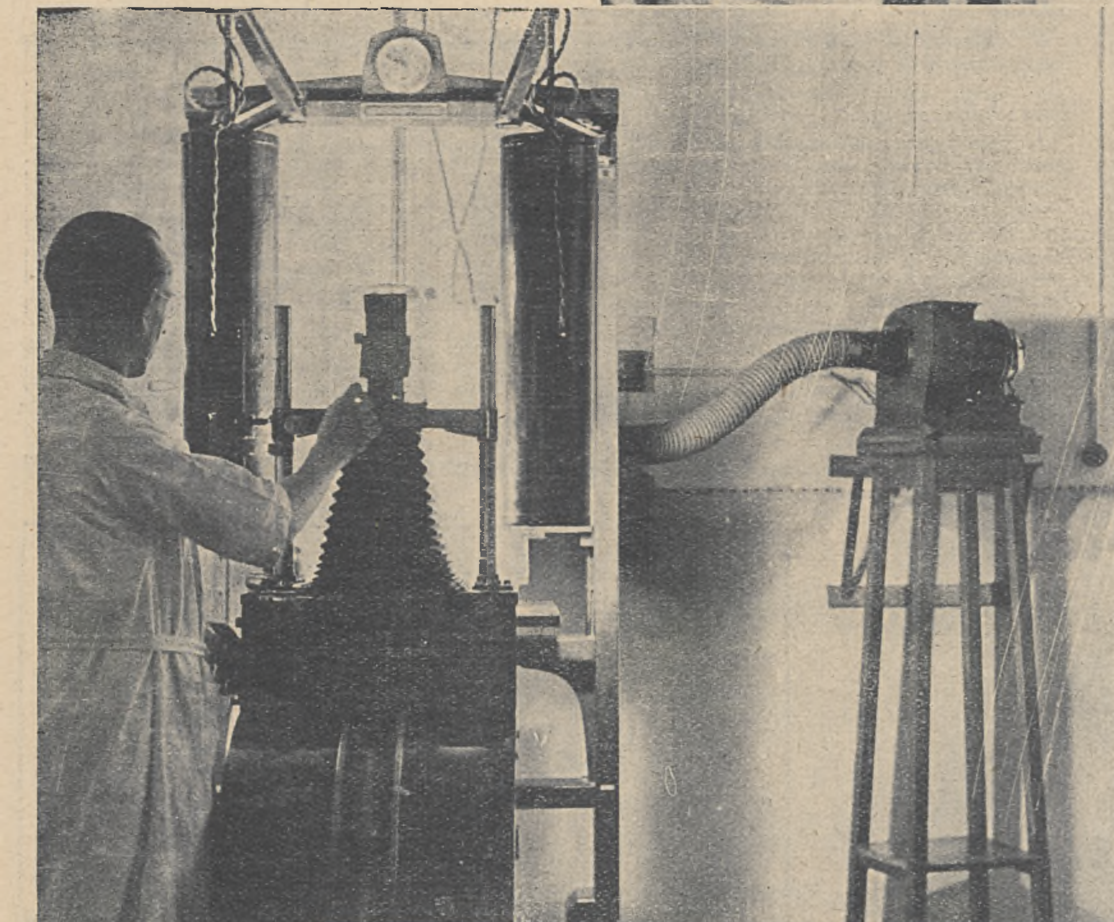


Coś dla filatelistów: oku musi każda koperta, z nadesłanego być przechowywana w specjalnem archiw Rocznie bank otrzymuje 5.000 marek od listów za sprzedane znaczki pocztowe. — Bibljoteka bank iera dzieła z zakresu skarbowości.

Złuzjonowanie tak potężnych placówek, jak *Deutsche Banku z Disconto Gesellschaft* (których życie przedstawiono na naszych ilustracjach), a wraz z niemi szeregu interesów przemysłowych i handlowych, nie zdoła wnieść tego prądu ożywczego, którego napróżno wypatrują ekonomiści Kapitalizacja wewnętrzna została zahamowana przez nadmierne podatki. Zagranica zaś, nie mówiąc o słusznym niepokoju, który mogą budzić posunięcia polityczne Niemiec, krytycznem okiem spogląda na walkę, wypowiedzianą kapitałowi przez rzesze pracowników i na coraz większe ofiary, ponoszono przez kapitał — łącznie ze skarbem państwa — gwoli uspokojenia umysłów, drogą obciążenia się do wysokości 4,5 miljardów marek w złocie, na ubezpieczenia i inwestycje społeczne.

Zbyt szybka, rewolucyjna niemal, realizacja tego, skądinąd słusznego podziału interesów — może się okazać fatalną w skutkach.

Nader poważny kryzys, który przeżywają Niemcy, pogłębiony jest dzięki ogólnemu stanowi depresji gospodarczej. I to właśnie jest może jedyną rękojmią pokoju.



Zbyt kosztownem byłoby przepisywanie niektórych dokumentów, zwłaszcza, jeżeli wymagane są liczne kopje. Zdjęcia fotograficzne zmniejszają znacznie koszty.



Tak zwane „martw ot", w którem załatwione i zakończone po wpisaniu do odpowiednich registrator zostają odkładane na wieczny czynek.

Korespondencja banku Disconto Gesellschaft wynosi każdego rana przeciętnie 28.000 listów i przesyłek. Celem odkopertowania nadeszłych listów i rozdzielenia pomiędzy odpowiednie wydziały pracuje cały sztab ludzi.



Codziennie 500 kobiet ni porządki w olbrzymim gmach Dis to Gesellschaft.



65.000 safesów na akta przedstawiają imponujące swym ogromem archiwum, gdzie wszystkie firmy na całym świecie, od najmniejszej do największej, posiadają swoje szczegółowe personalja i ewidencje.

Sala maszyn do pisania i liczenia jest niczem hala fabryczna, w której pracuje 200 urzędników. Stukot maszyn jest chwilami naprawdę ogłuszający.

Trochę statystyki

Statystycy i matematycy oddawna już obliczyli, poklasyfikowali i ponumerowali wszystkich ludzi na całym świecie. W swych dociekaniach na przyszłość doszli do przekonania, że nadejdzie wreszcie czas, kiedy nasza poczciwa planeta przeludni się i przestanie zaspakajać najprymitywniejsze potrzeby swych mieszkańców. Już nawet, podobno, obmyślają sposoby na wprowadzenie „kartek" na dzieci. Jednakże nienależy zapominąć, że prócz nóg dwunożnych ssaków ludzkich depcą ziemię kopyta, racice i cielska olbrzymich społeczeństw zwierzęcych, służących ludziom do pracy, dla przyjemności, dla pokarmu i t. p. Zwierzęta te również się mnożą i może liczniej od ludzi, są więc dla nich groźnym konkurentem w spodziewanem, ziemskiem przeludnieniu. I dlatego natura, rządząca się niezrozumiałemi dla człowieka, ale mądremi prawami, wytworzyła między człowiekiem a zwierzęciem walkę o byt, w której mózg ludzki tryumfuje nad mięśniami drapieżcy. Ta podświadoma siła przyrody, nakazuje tępić dzikie stworzenia, oszczędzając natomiast te, które posłużą mu za pokarm lub też za maszynę.

Jakież ilości zwierząt żyją obecnie na świecie? Odpowiedź jest niezbyt trudna i może dotyczyć tylko zwierząt domowych. Drapieżce i ptaki wymykają się z pod kontroli statystyki.

Najważniejszem ze zwierząt roboczych jest koń, który kroczył obok białego człowieka, gdziekolwiekby ten nie dotarł. Służąc jako siła pociągowa, środek lokomocji lub też wojownik, koń zaaklimatyzował się prawie wszędzie, przeżywając nawet swych panów, w zabójczych klimatach dla białych. Jednakże liczba koni obecnie nieprzewyższa cyfry 107 miljonów. Najbogatszym krajem w konie jest Rosja, posiadająca trzecią część koni całego świata, następnie idą Stany Zjednoczone, Argentyna, Brazylja, Polska, Niemcy.

W porównaniu z gęstością zaludnienia, największą ilość koni posiada Argentyna, gdzie jeden koń wypada na człowieka, na Litwie i Islandji 2 ludzi na jednego konia. Najuboższy procent jest w Portugalji i Chinach: 1 koń na 100 ludzi.

Na drugiem miejscu, w kategorji zwierząt pociągowo - roboczych, stoi osioł wraz ze swem potomstwem, pochodzącem z mezaljansu z koniem. Są to tak zwane muły, które cierpiąc za zdrożne przewiny swych rodzicieli, pozostały bezpłodne. Najbardziej oślim krajem na świecie są Chiny, w których ilość osłów wynosi 4 miljony. Następnie idą: Brazylja, Italja, Hiszpanja, która ma nawet więcej osłów jak koni. Stany Zjednoczone wysunęły się na czoło z 5,5 miljonami mułów; za niemi kroczy Argentyna — 623.000, a wreszcie Hiszpanja, Indje Brytyjskie i Turcja. W Rosji wypada 1 osioł na 62 konie.

Istnieją jeszcze na świecie inne zwierzęta „pasażerskie", ale w znikomych ilościach. I tak: wielbłądów jest około 3 i pół miljona. Prawie trzecia część należy do Rosji, połowa do Egiptu i Sudanu. Reszta rozproszona w Indjach i Północnej Afryce. Słonie nieprzekrają cyfry 100.000, z czego zaledwie połowa została „ucywilizowana". Z tych ostatnich 8.000 w Sjamie, 6.000 na Ceylonie, 8.000 w Indjach Holenderskich, reszta w Indjach Brytyjskich. Pozatem jakieś 1.000 zapełnia zwieżyniec i cyrki całego świata.

Z pod surowej kontroli matematyki zwierzęcej wymykają się woły, krowy, owcy, barany i świnie ochrzczone wspólnem mianem bydła. Padają one nieustannie pastwą żarłoczności ludzi. Jednakże cyfra ich ustaliła się między 630 i 650 miljonów sztuk.

Ilość wszystkich zwierząt domowych na całym świecie (za wyjątkiem psów) dobiega 2 miljardów.

Proponuję czytelnikom chwilkę zastanowienia, z ołówkiem w ręku: jakby wyglądała nasza ziemia, powiedzmy za 100 lat, gdyby cała ludzkość stała się nagle jaroszami, zwierzęta mnożyły się bezkarnie, a „Towarzystwo Opieki Nad Zwierzętami" nie spisało, przez cały ten czas, ani jednego protokółu?

(g.)

„NAJE" PIĘKNYCH BIAŁOGŁÓW

Było to przed dwoma laty. Organizowaliśmy naszą redakcję i między innemi segregowaliśmy otrzymywane z zagranicy fotografje, według pewnego systemu, któryby mógł ułatwić nam pracę w miarę napływu materjału. Podzieliliśmy więc wszystko, podobnie jak to się robi w bibljotekach na działy i niektóre z nich oznaczyliśmy skrótami. W pierwszym rzędzie nastręczył się nam termin: „naj" — wyraz napozór niezrozumiały, a dotyczący przedmiotów rekordowych, jak naj — większe drzewo na świecie, naj — mniejszy radjoodbiornik, naj — szybszy okręt, naj — bardziej wytrzymała para tancerzy i t. d., i t. d.

I proszę sobie wyobrazić, że z pośród tych wszystkich „najów", wyłonił się powoli nowy dział, w którym kobieta (któżby inny!) była jedynym tematem.

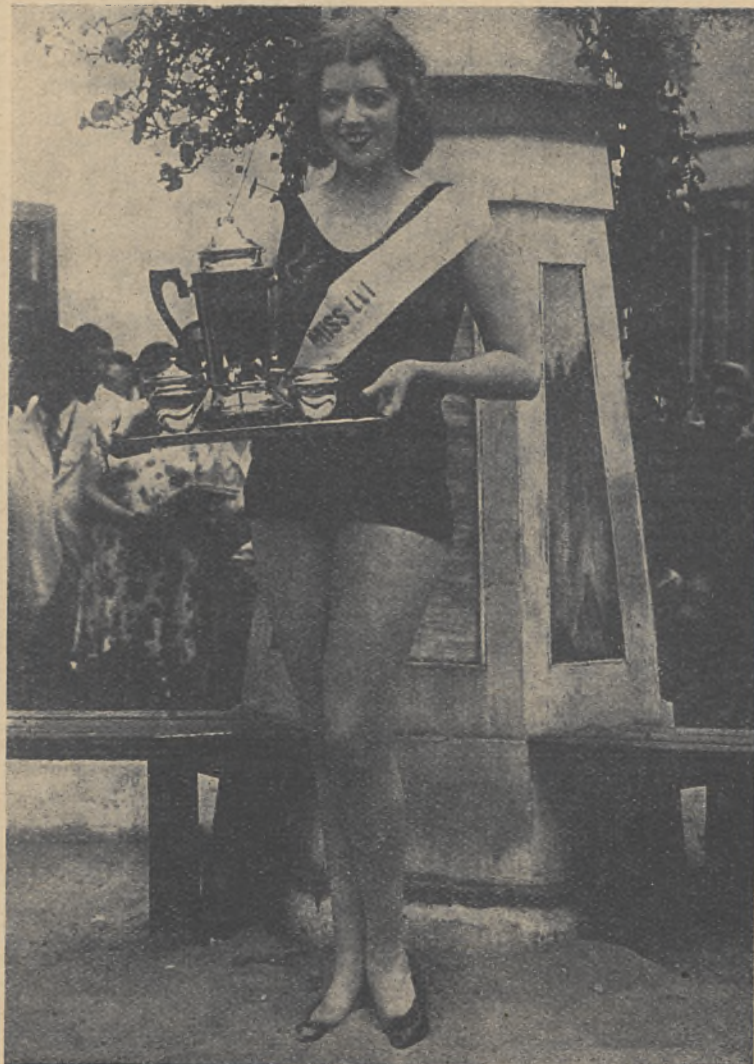
Kobieta we wszelkich postaciach. Młódki i młódki udające starki, lub zgoła zgrzybiałe babunie. Kobiety od lat trzech — do stu, a nawet i więcej, do stu, że tak powiem, z ogonem. Trafiały się nam kobiety naj — bardziej postępowe i naj — bardziej prymitywne, naj-dzielniejsze i naj-bardziej lekkomyślne, naj-bardziej występne i naj-cnotliwsze, lecz najwięcej „najów" odnieść można do tej kategorji białogłów, które jakiś „naj" mają na pokaz.



Więc jeśli która z owych niewiast nie odznacza się naj-większą urodą, w naj-prostszem zestawieniu z innemi, to w każdym razie może stanąć do konkursu naj-piękniejszych pleców, a jeśli nie pleców — to rąk, czy stóp, czy bodajby nawet... zarostu twarzy. Bo i takie bywają „naje". A wreszcie, kiedy niewiasta nie ma „naju" przyrodzonego, to wymyśli — naj-droższe pończochy lub naj-tańszą suknię balową (za 35 franków), lub naj-lżejszy strój, taki „naj", za który odprowadzają do komisarjatu.

Białogłowskich „najów" posiadamy najwięcej, bowiem słusznie mówi przysłowie, że czego najsprytniejszy djabeł nie wymyśli, tego niewiasta dokona...





Rozrywki umysłowe

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI.
z Nr. 41.

	a	b	c	d	e	f
6	s	t	r	a	ł	a
5	z	■	e	■	r	■
4	p	a	s	c	a	l
3	a	k	z	i	n	■
2	d	o	k	■	■	j
1	a	f	a	z	j	a

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI
z Nr. 42.

a	n	a	n	k	e
r	o	k	■	a	r
o	w	■	■	j	■
m	i	k	a	d	o
a	n	i	l	a	m
t	a	r	a	n	■

NAGRODY

Za rozwiązanie krzyżówki z N-ru 42 nagrody otrzymują (w wyniku losowania):

zł. 25

p. inż. J. Modrzejewski, Lublin, ul. Narutowicza 22 m. 10. Książki beletrystyczne: pp. Jadwiga Kowalczykówna z Warszawy, Anastazja Zasońska, Serock, Rynek, restauracja.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI
z Nr. 43.

	a	b	c	d	e
6	p	l	a	t	o
5	o	i	m	■	n
4	s	k	o	r	a
3	a	n	■	ó	■
2	d	r	a	w	a
1	a	g	a	t	■

NAGRODY

Za rozwiązanie krzyżówki z N-ru 43 nagrody otrzymują (w wyniku losowania):

zł. 25

p. Leon Finkel, Ostroróg n/Horyniem, ul. Handlowa 49. Książki beletrystyczne: pp. Zofja Reklewska z Warszawy, Seweryn Iwanicki, majątek Czarnów, poczta Żychlin.

NAGRODY

Za rozwiązanie krzyżówki z N-ru 44 nagrody otrzymują (w wyniku losowania):

zł. 25

p. W. Cieszkowski, Piotrków Trybunalski, Narutowicza 22. książki beletrystyczne: pp. Wisia Zamojska z Warszawy; Ryszard Pupko Kowel, 50 p. p.

Redaktor działu rozrywek umysłowych pzyjmuje czytelników w soboty od godz. 14-tej do 15-tej.

IMPRESJE TEATRALNE

TEATR ATENEUM: „Ulica" Elmera L. Rice'a.—OPERETKA WARSZAWSKA: „Ptasznik z Tyrolu" Karola Zellera.

Już poprzednio pisałem, że mamy teraz w teatrach stołecznych parę sztuk społeczno-dyskusyjnych. Potwierdza to i teatr „Ateneum" swą amerykańską „Ulicą" Rice'a, w postaci modnego obecnie reportażu scenicznego. Niemało już takich reportażów widzieliśmy w Warszawie. Tenże teatr „Ateneum" rozpoczął swój ubiegły sezon „Sprawą Jakubowskiego", najtypowszą ze sztuk tego rodzaju. Czy dlatego, że i reportaż dziennikarski stoi w Ameryce tak wysoko, czy dlatego, że autor jest utalentowanym dramaturgiem, czy, wreszcie, dlatego, że wystawiono jego dzieło w „Ateneum" znakomicie— dość, że „Ulica" przerasta swą wartością artystyczną wszystkie utwory sceniczne tego rodzaju, jakie oglądaliśmy. Jest to „Noc, świt i dzień" wielopiętrowej kamienicy nowojorskiej, wciśniętej pomiędzy tysiące innych podobnych, gnieżdżącej mrowisko ludzkie, skłócone ze sobą, plotkarskie i zawistne, a jednak żyjące intensywnie wszystkiemi odcieniami namiętności. W tych dusznych, a mrocznych murach, rozpalonych do białości żarem czerwcowym, stapiają się w jedną bryłę: i misterjum narodzin, i cud miłości, i szał zmysłów, i ryk zazdrości, przemoc i litość, poświęcenie i mord. Może nie wszystkie postacie są tu pełnokrwiste, nie wszystkie konsekwentne, ale wystarczą nam te szkice, jak również i perełki aforyzmów, niezgłębiających może poszczególnych problematów, lecz poruszających je w rewelacyjnie interesującej formie (np. rozumowanie Róży: „mogę kochać, mogę się oddać, ale należeć do nikogo nie będę, należę tylko sama do siebie" — oto jedyny szlachetny rodzaj egoizmu miłosnego, jako przeciwstawienie egoizmu podłego — zazdrości). Niesposób w pobieżnej notatce sprawozdawczej wyczerpać całokształtu wrażeń wstrząsających a podniosłych, wzruszających a rozświetlających umysł, jakie daje „Ulica". Niechaj każdy sam się o tem przekona i przyklaśnie arcydoskonałej grze całego zespołu, z genjalnym Jaraczem na czele, jak również wielce pomysłowej dekoracji Ireny Lorentowiczówny i anonimowemu „akustykowi".

* * *

„Jeszcze raz, jeszcze raz, jeszcze raz", jak nucą w „Ptaszniku z Tyrolu", próbuje się odrodzić operetka warszawska, inaugurując tym klasycznym utworem swe nowe siedlisko. Pod kierunkiem St. Śliwińskiego grono młodzieży artystycznej, uzupełnione świetnym śpiewakiem Sowilskim, starało się usilnie, aby wszystko wypadło jak najlepiej. I rzeczywiście, ogólne wrażenie było bezspornie dodatnie. W zespole wysunął się na czoło Wawrzkowicz i Śliwińska. Chóry brzmiały donośnie, duet taneczny Żerańskiej i Dobieckiego zyskał oklaski, jak również dekoracje Galewskiego i kostjumy jego córki Eugenji. Dobrze byłoby, aby choć ta jedna placówka utrzymała się w stolicy.

Henryk Liński.



Znakomity zespół teatru „Ateneum" z dyr. Jaraczem na czele. *(fot. Brzozowski).*

PIERRE MAC ORLAN. 9)

Noc Marji Chantal

(La tradition de minuit)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W małej kawiarence paryskiej, pod nazwą „Bal motyli" zebrało się parę osób, wezwanych przez tajemniczą osobę, w sprawie jakiegoś olbrzymiego spadku. Po pewnym czasie, postanawiają wezwać właściciela lokalu. Ku wielkiemu swemu przerażeniu zastają go zamordowanego we własnym pokoju. Zjawia się policja, która bada zebranych. Są to: Eligjusz Mutter — antykwarjusz, Marja Chantal-Fosseuse — śpiewaczka, Lucjan Flahaut — dziennikarz, Ludwik Fraipont — chłopiec garażowy i niejaki Saint-Thierry. Śledztwo toczy się powoli, przyczem sprawa wikła się coraz bardziej tajemniczo.

Po kolacji obaj panowie pożegnali Marję-Chantal i jej towarzysza. Eligjusz Mutter poszedł w jedną stronę, Flahaut w drugą. Co dziesięć kroków odwracali się i wściekli, że się przyłapują wzajemnie, skręcili w przeciwległe ulice i zniknęli sobie z oczu.

— Niech mnie pan odprowadzi do „Czarnego Słońca" — prosiła Marja Chantal. — Jestem niespokojna, boję się...

— Żartowałem przecież... bo chciałem im dokuczyć. Niech się pani nie boi, nie będzie pani więcej wzywana. Mogę panią zapewnić.

Saint - Thierry wyjął portfel i pokazał bilet funkcjonarjusza policji śledczej, na którym było wydrukowane jego nazwisko.

— Mam nadzieję, że pani nikomu nie powie.

Saint - Thierry schował bilet do portfelu... Marja - Chantal spuściła głowę, jednakże nie cofnęła ręki.

VII.

Marja-Chantal nie była więcej wzywana do sędziego śledczego. Codziennie rano, jedząc pierwsze śniadanie w łóżku, czytała gazety. Morderstwo Nöel-le-Cäid'a, głośne przez jeden tydzień, nie interesowało już publiczności, która nie zdawała sobie nawet sprawy z wartości społecznej ludzkiej krwi. Epoka pogardy dla życia. Morderców traktowano przeważnie z pobłażliwością. Ta forma bezpośredniej walki społecznej zrodziła się z wojny i przyzwyczajenia zabijania, nabytego w wojsku. W umyśle tych ludzi zostało pojęcie uporczywe i przewrotne: to wcale nie tak trudne, jakby się zdawało. Tradycyjny wstręt dla morderstwa chronił ludzi przed ich złemi instynktami. Każda sprawa, związana z morderstwem, uważana była za brzydką sprawę, jedynie nieliczne jednostki zdobywały się na takie przedsięwzięcie. Byli oni zazwyczaj chwytani przez nieczułą policję, która prowadziła ich wczesnym rankiem w tajemnicze miejsce, gdzie królowała gilotyna.

Cała policja paryska i prowincjonalna zmierzała do tego dziwnie prostego instrumentu Maszyna do ścinania głów z duszą maszyny do krajania kiełbasy na plasterki. Smętni kochankowie „wdowy" byli pomimo wszystko nieliczni. Nie mogli liczyć na to, że ich jęki wzruszą tę nieubłaganą maszynę. Gilotyna była głupia i nieczuła. Umiała jedynie ścinać głowy. Po dosyć ciekawym okresie szału erotycznego, który zakończył wojnę i trwał kilka lat, nastąpił inny okres, kiedy morderstwo, uważane za jeden z najlepszych sposobów zdobycia majątku, rozkwitło prawie bez przeszkód.

Okres publicznych zabaw erotycznych zdawał się mijać. Człowiek męczy się prędko przyjemnościami i widokami, które zapożyczają swój przemijający zapał z żarliwego snobizmu. Zbrodnia pod wszelkiemi swemi formami rozwija się w łonie społeczeństwa, wcale nie zepsutego, jak niektórzy przypuszczają, ale zwyczajnie zblazowanego.

Marja-Chantal, która z zaciekawieniem czytała kilka tradycyjnych wierszy, zawiadamiających, że zbrodnia „Balu Motyli" ujdzie prawdopodobnie bezkarnie, uczuwała coś, jakby strach, że została wciągnięta do tej mistyfikacji.

Młoda kobieta, która była w knajpce po południu w przeddzień zbrodni, nie została wykryta, ale obecność jej brano pod uwagę. Nie było to już widmo, zabłąkane w wyobraźni. Wiedziano, że była to elegancka brunetka, dosyć wysoka, małomówna. Jeden z policjantów zapewniał, że widział pewną kobietę, odpowiadającą temu opisowi, na Avenue de Versailles przy moście Mirabeau. Szła prędko i nie wyglądała bynajmniej na skromną dziewczynę, wracającą do domu. Obecność tej kobiety w nocy o tej porze zwróciła uwagę policjanta. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a kiedy znikła, został na posterunku bezradny, niespokojny i zdenerwowany, jak człowiek, który nie spełnił swego obowiązku. Policjant, przeczytawszy gazety, opisujące zbrodnię „Balu Motyli", nabrał przekonania, że wypadek zetknął go z jedną ze sprężyn, kto wie czy nie najważniejszą, zbrodni. Zwierzył się ze swych obaw zwierzchnikom. Odtąd powstała prawie pewność, że jakaś kobieta była zamieszana do morderstwa. Ślady zaczynały się i kończyły na tych danych.

Nowa zbrodnia z kategorji erotycznych, specjalnie cenionych przez publiczność, usunęła w kąt sprawę Nöel-le-Cäid'a, ponieważ ta ostatnia nie dotrzymała tego, co obiecywała z początku.

Marja-Chantal wspominała stale ranek, kiedy spotkała Szymona Saint-Thierry. Bez zdumienia przyjęła rewelację, że on sam jest funkcjonarjuszem policji. Zarumieniła się, spu-

ściła oczy, gdyż wyraz „policja" budzi zawsze uczucie strachu i niepokoju w umysłach uczciwych mieszczan. Marja-Chantal myślała przez sekundę tak, jakby myślała jej babka w podobnej sytuacji. Saint-Thierry był eleganckim policjantem; trzeba to było przyznać. Był dobrze wychowany, tak jak Marja-Chantal, córka upadłego aptekarza. Młoda kobieta z przyjemnością konstatowała, że Saint-Thierry machinalnie rozgniatał na talerzu skorupki zjedzonych jajek na miękko, że gryzł potrawy z zamkniętemi ustami, kiedy ziewał, zakrywał usta ręką. Temi szczegółami różnił się od innych młodzieńców, którzy odwiedzali „Czarne Słońce". Sprawiał wrażenie syna urzędnika prowincjonalnego.

Czytając gazetę tego ranka i łącząc te wszystkie obrazy w jeden film, Marja-Chantal pomyślała o małżeństwie z Szymonem Saint-Thierrym.

Marja-Chantal Fosseuse przywiązywała do małżeństwa wielką wagę. Miała nadzieję, że gdy wyjdzie zamąż, nie będzie śpiewała wieczorami i że będzie mogła powierzyć mężowi troskę o swoją egzystencję, co zresztą jest zupełnie naturalne.

Spotykała się co wieczór z narzeczonym. Kiedy mówiła o nim z Izabellą albo dozorczynią, panią Bluteau, mówiła: „mój narzeczony". Wszystko pozwalało jej sądzić, że Saint-Thierry był w niej zakochany. Otaczał ją wielkim szacunkiem i głupiał formalnie w towarzystwie innych kobiet. Co wieczór jadali razem kolację. Saint-Thierry był zupełnie zadowolony z siebie i nie szukał wcale zajęcia w dzienniku, korzystając z protekcji Flahaut'a. Marja-Chantal, która wiedziała o ukrytej profesji swego przyszłego męża, nie zadawała sobie pytania, skąd płyną pieniądze.

Flahaut zabierał ich często koło godziny trzeciej nad ranem, kiedy Marja-Chantal kończyła swoją ostatnią piosenkę. Napisał nawet o niej kilka artykułów, z których jeden pomógł jej do przenisienia głosu na płytę gramofonową.

Eligjusz Mutter, który otworzył sobie na ulicy Ravigan sklep z osobliwościami różnych krajów i czasów, spotykał się z nimi często w „Lisie". Nie przebierał się nigdy na wieczór. Jego włosy w świetle wydawały się czasem białe, czasem różowe, nieraz zielonkawe. W dzień Eligjusz Mutter nosił małą czerwoną czapeczkę ze złotym galonem. Natomiast nie nosił jej nigdy do wyjścia.

Marja-Chantal Fosseuse w przeciwieństwie do większości kobiet, które darzą niewielką sympatją przyjaciół swego wybranego, lubiła bardzo zasiadać przy stole w towarzystwie Saint-Thierry'ego, Flahaut'a i Muttera. Czuła się małą królową tego zebrania. Flahaut opowiadał jej swoje dykteryjki, Saint-Thierry przytulał się do niej, a Mutter otaczał ją rzadkim, jak na owe czasy, szacunkiem. Przeżywano tam przed niedalekim świtem dwie godziny przyjaźni i swobody przy ostrygach, białem winie i gorącej kawie.

Marja-Chantal nie pozwalała Saint-Thierry'emu na najmniejszą poufałość w tem środowisku, gdzie, jak mówił Flahaut, największa poufałość nie pociągała za sobą żadnych konsekwencyj. Nie mogła więc nie przewidywać, gdy tylko samotnie rozmyślała nad swem położeniem, że przyjdzie wkrótce czas, kiedy będzie musiała dążyć do rozwiązania, którego tak bardzo pragnęła.

Wtedy urządziła się tak, aby zostać we dwoje z Saint-Thierry'm. Opuszczały ją wówczas siły. Zdawało jej się, że trzyma w zamkniętej dłoni piasek, który wysypuje jej się między palcami. Umiała wtedy powiedzieć tylko: „Tak, Szymonie, jak chcesz... dobrze..." Szymon Saint-Thierry z pobłażaniem patrzał, jak brnęła poomacku w radosnem rozmarzeniu w krainę miłości, której granice miały się przed nią otworzyć.

Pewnego wieczoru, gdy wracając do domu, wpadli na trzech pijanych murzynów, i gdy ci ostatni zatarasowali cały chodnik na ulicy Douai, powiedział: „Musimy się pobrać, Marysiu. Połóż się i nie dawaj mi zaraz odpowiedzi... Namyśl się dobrze i przyjdź jutro na śniadanie do restauracji, na ulicę des Abbesses. Jeśli się zgadzasz, przypnij białą różę do płaszcza"

Marja-Chantal Fosseuse wyszła za Szymona Saint-Thierry. Na uczcie weselnej, spożytej w jednym z kabaretów na Montmartre, obecni byli tylko świadkowie: Eligjusz Mutter i rysownik Karl ze strony Marji-Chantal, Lucjan Flahaut zaś i Pedralbez ze strony Saint-Thierry'ego. Eligjusz Mutter ofiarował pannie młodej stare kolczyki z osiemnastego wieku, a Pedralbez mały patefon.

— Bądźcie błogosławieni! — wołał Flahaut, którego wino zawsze rozczulało — i postarajcie się o liczne potomstwo, aby zapewniło wam spokój na starość.

— Pan tylko o tem myśli, żeby być na czyjemś utrzymaniu — zauważył Eligjusz Mutter.

— Nie myślę o niczem, kapuściana głowo, mówię tylko, że mając dwanaścioro dzieci, z których każde po dojściu do pełnoletności będzie mi dawało po pięć franków dziennie, uzbieram sobie dziennie sześćdziesiąt franków i będę mógł spokojnie wypalać moje ostatnie fajeczki gdzieś między Heyst i Brugges.

— Dziwne rozumowanie — odparł Eligjusz Mutter.

(D. c. n.)

ZDZISŁAW GRZYBOWSKI.

HISTORYCZNY PODRĘCZNIK PROWOKACJI

„Aż do końca wojny światowej, nowa Polska, zawdzięczająca swój byt narodowy mocarstwom centralnym, jednomyślnie i wiernie przy nich trwała i ani na mgnienie oka nie pomyślała o tem, ażeby kosztem Niemiec i Austrji rozszerzyć dotychczasowe swoje granice".

„Myśl stworzenia silnej, niepodległej Polski, z dostępem do morza, powstałej na gruzach państw trzech cesarzy, należy do patrjotów polskich na emigracji, w pierwszej zaś linji do Romana Dmowskiego, człowieka obdarzonego duchem genjusza politycznego. W dalszych rozdziałach niniejszego dziełka zobaczymy, jak prace tej osobistości, obdarzonej żelazną wolą charakteru, doprowadziły do stworzenia cudu Polski wbrew jej własnemu życzeniu".

Oto początek pierwszego rozdziału książki, napisanej przez René Martela, pod intrygująco-sensacyjnym tytułem:

DEUTSCHLANDS BLUTENDE GRENZEN.

Książka ta, wydana w Niemczech, dotarła do nas w jednym jedynym egzemplarzu, dzięki kurtuazji wydawcy, który ją nadesłał pod adresem jednego z profesorów uniwersytetu warszawskiego. Nie będziemy tutaj rozstrzygali tendencji, jaką kierował się wysyłający. Źródła jej należy dopatrywać się w prowokacyjnej bezczelności niemieckiego odwetowca. Daleko jednak poważniejszem się wydaje przeprowadzenie analizy nad treścią książki, jej autorem i celem, dla którego została napisana.

Co się tyczy osoby autora, to dzięki tejże samej uprzejmości wydawcy dowiadujemy się, że profesor René Martel jest najpoważniejszym znawcą słowiańszczyzny we Francji. Faktu, że nazwisko i imię brzmi z francuska i że jest profesorem — nie negujemy. Musimy natomiast zaprzeczyć faktowi znajomości przez tegoż Martela dziejów słowiańszczyzny.

Pan profesor Martel, jakkolwiek człowiek bardzo uczony cierpi na brak oryginalności i umiejętnej charakteryzacji. Od pierwszych kart swego ciekawego, z punktu widzenia ignorancji historji, dzieła otulił się szczelnie w dobrze już wyświechtaną togę obrońcy pokoju. Szata ta, popularna szczególnie w sezonie konferencyj rozbrojeniowych, posiada dużo miejsc przetartych, z których coraz częściej błyskają ostrza stalowych mieczy. Szminki natomiast pana Martela pochodzą z chemicznych fabryk, z etykietką „mady in Germany".

Zapoznajmy się jednak pokrótce z treścią książki, napisanej stylem przeciętnego niemieckiego nauczyciela szkoły powszechnej. Znajdujemy w niej niesamowite wprost odkrycia, demaskujące podstępne intrygi chytrych Polaków, przeciwko wielkodusznemu a jednocześnie niemądremu prezydentowi Wilsonowi. Biedny ten, Bogu ducha winien człowiek, naskutek podszeptów niejakiego Jerzego Sosnowskiego, który pochodził z dziwnego narodu (aus Russisch - Polen stammender Pole), postanawia wystąpić przeciwko Niemcom. Pada grom. Dywizje amerykańskie odpływają do Europy i mijają się w drodze z Ignacym Paderewskim, który ma pomagać Sosnowskiemu w jego dalszej pracy. Ataki wojsk amerykańskich nad Sommą zbiegają się z atakami Paderewskiego i Sosnowskiego na Wilsona, któremu powiadają: „Widzisz te mapy Europy z roku 1910? Pamiętasz je z ławy szkolnej. Ale nie wiesz, co one kryją za tajemnice. Obok po obu stronach Wisły zamieszkuje naród — Polacy, którym, w myśl hasła samookreślenia narodów należy dać niepodległość. Co prawda, nic o Polakach nie wiesz. Nic cię oni nie ziębią ani grzeją; ale trudno; hasło jest hasłem. Trzeba im dodać kawałek morza, Śląsk i t. d., a wtedy równowaga na świecie będzie zachowana".

I w ten sposób „głupi" Wilson daje się przekonać. Nadchodzi rok 1918. Koniec wojny, 13 punkt Wilsona i niewdzięczność Polski względem mocarstw centralnych. Jeden tylko Lloyd George, najświatlejszy mąż stanu, uprzedza delegatów konferencji pokojowej przed oddaniem Gdańska Polsce. Wszyscy się bardzo go przestraszyli i Gdańska Polsce nie pozwolili zabrać.

W ten sposób pan profesor historji słowiańszczyzny, René Martel, jędrnie i ciekawie opowiada o powstaniu Polski.

Do tej pory możnaby się śmiać, czytając te uczone wypociny; jednakże następny już rozdział zaczyna być dla nas niebezpieczny. Wyłania się kwestja Górnego Śląska i korytarza pomorskiego. Tutaj zaczyna pan Martel żonglować cyframi i operować faktami, ukutemi w kancelarjach tajnych radców rządu berlińskiego. Przebieg powstań górnośląskich maluje w najczarniejszych barwach dla Polaków. Wylicza numery pułków regularnej armji, która, tworząc nieregularne bandy wraz z „ogłupionymi" robotnikami i górnikami śląskimi, zaczyna hulać niczem średniowieczni hajdamacy.



Strona tytułowa „pokojowego" dzieła pana René Martela.

Przytacza szereg zbrodni, popełnianych nad bezbronną ludnością niemiecką, opisuje rabunki i równanie z ziemią majątków i zamków niemieckich agrarjuszy, wreszcie wspomina o tomach dokumentów i fotografij, stwierdzających bestjalstwo Polaków. Tysiące biednych niemieckich dzieci poszły na rzeź polskich zbrodniarzy. Wreszcie plebiscyt pod groźbą bagnetów, który przyznaje Polsce część Górnego Śląska.

W korytarzu Pomorskim Polacy postępują jeszcze bezczelniej, nie pytając się nawet ludności o zdanie i zagarniając „dawne, rdzennie germańskie ziemie". Biedni Niemcy, wyzuci z ojcowizny, tłumnie uciekają do Vaterlandu, pozostawiając za sobą jeno łzy tych, którzy nie mogą za nimi podążyć.

I tu, według Martela, została popełniona największa zbrodnia na Niemcach. Oderwanie Prus Wschodnich od macierzy, uzależnienie rozwoju gospodarczego Gdańska od bandyckiej Polski, to są momenty, wymagające natychmiastowej rewizji traktatu w Wersalu.

Wreszcie wyłazi szydło z worka. Zagadnienie Gdyni. Ten polski port nad Bałtykiem, który powoli usuwa w cień hegemonję Gdańska, a nawet zaczyna konkurować ze Szczecinem, jest kęsem nie do strawienia przez pokojowo nastrojonego pana Martela. *„Ten 76-cio kilometrowy front morski, bez naturalnego dostępu do pełnego morza, z jedynym portem, jest śmieszny".* I tutaj powołuje się na pismo Dmowskiego, który pisał, że polski korytarz jest bezwartościowy, o ile do niego nie należą Wschodnie Prusy. A więc stąd wniosek, że Polacy chcą również zaanektować i Prusy, a potem Litwę, Rygę, Libawę, Ukrainę i resztę Górnego Śląska, aż po Odrę.

Cóż za stek idjotycznych przepowiedni, wyrosłych na nawozie pruskiej hakaty. Cóż za nieostrożne igranie z ogniem, nieustannie rozdmuchiwanym gwoli podniecenia i tak już dostatecznie napiętej atmosfery w Europie.

A już ohydą nie do darowania jest nawoływanie tegoż Martela w imieniu Francuzów, którzy jakoby chóralnie domagają się zwrotu Górnego Śląska Niemcom, oraz ratowania kultury niemieckiej, niszczonej przez Polskę.

„Dzisiaj może być jeszcze pokój uratowany, o ile wyrządzona krzywda zostanie naprawiona — jutro już będzie za późno".

Zaprawdę prowokacje niemieckie stają się coraz bardziej niebezpieczniejsze. Imają się oni nowych metod. Chojnie opłacając człowieka o miedzianem czole, pochodzącego z narodu, związanego z nami wielowiekowemi węzłami przyjaźni i historji starają się wszystkiemi sposobami o zerwanie tych węzłów, bądź też o wprowadzenie elementu nieufności. Zapuszczenie trucizny w mózgi nieuświadomionych narodów drogą bibuły prowokacyjnej, jest najgorszą bronią, mogącą wyrządzić niepowetowaną krzywdę całemu światu. Osobnicy pokroju pana Martela winni być piętnowani jako sprężyny przyszłej zawieruchy wojennej.

Zarówno my, jak i opinja społeczeństwa francuskiego, nie damy się jednak wyprowadzić z równowagi insynuacjami przekupnych profesorów.

Polemika z nimi, oraz prostowanie ich kłamliwych elaboratów przynieść może jedynie ujmę.

Odpowiedzią naszą winna być jedynie pogarda....



W dniu 11 listopada, dorocznym zwyczajem, obchodzono niezwykle uroczyście w całej Francji rocznicę zawieszenia broni. Przed grobem Nieznanego Żołnierza, pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu, przedefilowały oddziały wojskowe i poczty sztandarowe ze wszystkich pułków, odznaczonych podczas Wielkiej Wojny. Paradę przyjmował Prezydent Gaston Doumergue w otoczeniu członków rządu i generalicji, z marszałkiem Joffrem na czele

Rezultaty wyborów do Sejmu

B. B. W. R.	mandatów 248	Sjoniści	„ 2
Stronnictwo narodowe	„ 64	Żydzi sanacyjni	„ 1
Zw. Obr. Pr. i W. L.	„ 80	Ch. Dem.	„ 14
Ukraińcy	„ 21	Komuniści	„ 5
Niemcy	„ 5		
Żydzi małop.	„ 4	Razem mandatów	444



Pani Prezydentowa Mościcka, z córką i synową, w drodze do urny wyborczej.



W komisji obwodowej przy ulicy Nowowiejskiej głos swój złożył były Prezydent Wojciechowski.



Na ulicach miast hiszpańskich można wszędzie znaleść licznych skrybów, piszących listy dla służących - analfabetek. (Pacific, Atlantic.)

Drobiazgi o psach

PSI CMENTARZ W ASNIERES.

Anglicy byli tymi, którzy po raz pierwszy zorganizowali towarzystwa opieki nad zwierzętami i wydali pierwsze prawa, zabraniające znęcania się nad zwierzętami. Anglikiem był Georg Laguen, założyciel pierwszego cmentarza dla zwierząt w r. 1890. Cmentarz ten był prototypem cmentarza w Asnières, pod Paryżem. Wielki przyjaciel zwierząt, feljetonista niemiecki, Casparius, twierdzi, że ów francuski cmentarzyk, to muzeum miłości, przynoszące prawdziwy zaszczyt ludziom.

Jakież tam psy nie leżą!... Dogi, mastify, psy z góry św. Bernarda, owczarki, loulous de Poméranie (tak nazywają we Francji szpice), pudle, pinczerki, mopsy i t. p. Napisy na pomnikach wzbudzają często zdumienie — niewiadomo, czy śmiać się, czy płakać... „Nie zawiódł nigdy". — „Bijou uratował mi życie" — „był prawdziwym poczciwiną" — „Biedny Coco".

Zaraz nawprost wejścia — pomnik słynnego bernarda Barry'ego, który 40 ludziom uratował życie, zginął zaś ratując 41-go. Tam spoczywają psy Henri Bataill'a, Bonnarda, Domingue'go i Sully Prud'hommes'a. Ten ostatni wystawił bardzo gustowny nagrobek „Djanie — swej ostatniej sympatji". Nie tylko jednak psy znalazły w Asnières ostatni przytułek. Znajdujemy również mogiły 35-letniego siwka „Gribouille", dwóch turkawek i słynnej papugi, zmarłej przed 40 laty, która podobno należała do Masseny i, którą raczył drażnić z lubością sam Napoleon.

Nie brak nad stawem i małego krematorjum, na wypadek, gdyby kto prochy swego ulubieńca chciał zabrać do domu...

Ostatecznie był taki, co powiedział: „Im więcej ludzi poznaję, tem bardziej lubię psy".

PSY I MODA.

Nieubłagana moda wpływa bezwątpienia i na losy psów...

Na przełomie naszego stulecia stał się modnym pies owczarski. Zrobiono z niego „wilka" salonowego. W 1929 roku cieszyły się wielkiem powodzeniem angielskie psy pasterskie, zwane przez Anglików Shipdogs. Są to bardzo mądre, czujne i wierne stworzenia o srebrnoszarej, długiej szerści, która im niemal zakrywa oczy. Ostatnim jednak „krzykiem" mody z 1930 r. to Chow-Chow, zwany też krótko „Chow". Jest to chiński szpic, pochodzący z niezmiernie starej rasy, żółtej, czerwonożółtej lub czarnej maści. W Chinach nie jest on oczywiście psem luksusowym, lecz pilnuje trzód i domów, a prócz tego ceniony jest jako

bardzo smaczne pieczyste, mające podobno właściwości afrodyzjaku.

Maść psów jest oczywiście najbardziej zależną od nastrojów mody i hodowca wielką zwraca na to uwagę. Toż pies stanowi uzupełnienie stroju wytwornej kobiety. Dzisiejsza publiczność poszukuje najbardziej psów średniej wielkości. Moda na wielkie psy jeszcze nie powróciła, wpływają na to prawdopodobnie ciężkie warunki gospodarcze. Mądre pudle znów zaczynają nabierać popularności.

Snobizm oraz prawo kontrastu decydują oczywiście również o wyborze psa, a więc zdarza się często, że znany bokser, który jednem uderzeniem pięści może wysłać człowieka na tamten świat, wyciąga z kieszeni żakietu japońskiego karzełka, mniejszego od swej pięści, a drobniutka tancereczka prowadzi na smyczy potwornego mastifa, na którym mogłaby jeździć wierzchem.

Za mało jednak zwraca się jeszcze uwagi na wewnętrzne wartości psa, na wartości „moralne", które wiele dać mogą każdemu prawdziwemu przyjacielowi zwierząt.

Dres.

Wśród książek

Kazimierz Alberti. Pochwała życia i śmierci. Poezje (Czarnolas). Nakładem Księgarni św. Wojciecha. R. 1930.

Czytając poezje utalentowanej autorki, podziwiamy jej nader subtelne, acz nieco melancholijne ukochanie przyrody. Poza tem jednak w świeżo wydanym tomiku dostrzega się całkiem niepowszednią skalę wzruszeń poetyckich. Tytuł nie kłamie. Poetka w pełnem pogodnej rezygnacji ujęciu życia, we wszelkich przejawach od kwiatu do serca ludzkiego, składa jego urodzie hołd szczery, nie zapoznając jednak tragicznego czaru śmierci. Wiele nasuwa myśli, wiele budzi wzruszeń, wiele ukazuje warstw ukrytych dla oczu niepowołanych.

Tadeusz Przychodzki „Drogi samotnych". Warszawa 1930 31. Skład główny w Domu Książki Polskiej.

Jest to książka napisana z talentem i dokładnie opracowana. Autor prowadzi swego bohatera rzeczywiście drogą samotnych, każąc mu głęboko przeżywać wszystko odczute (a odczuwa on wiele), walczyć o to co szlachetne. Książka ta więc jest obrazem wewnętrznym przeżyć jednostki — myśliciela, co — podpatrując życie — idzie z wiarą naprzód, nie upadając na duchu, pomimo ciągłych zawodów. Zawody te zresztą poczytuje bohater jako szkołę życia, bodziec do walki, a nawet jako urok samego życia.

On — ona, dalecy od przyziemnych dążeń złączeni duchem, lecz rozłączeni rzeczywistością — to zasadnicze postacie, reszta to rozwiewne tło, które dopiero przy zetknięciu z temi postaciami tężeje kontrastowo.

Rzecz warta podkreślenia, że bohater, poza Warszawą, przebywa w okolicach Warszawy, tak mało opisywanych dotychczas.

Książka ta warta jest przeczytania, jeśli nawet abstrachować jej oryginalność, gdyż stanowi zdrową strawę.

Zwrot ku temu, co szlachetne, piękne opisy natury, podpatrzone z mało praktykowanej strony, wiele wrażeń i powiew mistycyzmu, budzącego zaciekawienie, składają się na dobrą całość.

Stefan Balicki. Dziewiąta fala. Powieść. Nakładem Księgarni św. Wojciecha. R. 1930.

Polska literatura piękna o morzu jest bardzo szczupła. Nie zdążyliśmy się jeszcze oswoić z tym żywiołem. Nie poznaliśmy dość ludzi najbliższych i najbardziej świadomych jego potęgi. Fantazja nie zapaliła mózgów naszych twórców urokiem morza. Gruszecki i Żeromski z dawniejszych autorów, a z nowych Bandrowski i Grabiński — oto bodaj cała „plejada" pisarzy o Bałtyku. Powiększył ją świeżo. młody imieniem, ale wytrawny w piórze, Stefan Balicki. Jego powieść nie jest przeciążona ani odrębną mową kaszubską, ani szczegółikami obyczajowemi. Ma tło psychologiczno-obyczajowe, akcję zaś dramatyczną. Styl jest tak zwarty, jak rzadko w której powieści, ale zarazem bardzo dostępny. Autor wniknął w duszę nadmorskich mieszkańców bez widocznego wysiłku. Pokazał ludzi nie specjalnie pod kątem widzenia kaszubszczyzny, ujął ich nie jako typy etniczne, lecz przedstawił naturalnie, w realiźmie, pozbawionym jaskrawych dekoracyj. Podpatrzywszy ich w życiu codziennem, uwydatnił ich właściwości ogólnoludzkie, a mimo to znamienne dzięki specjalnym zajęciom i przyrodzie nadmorskiej. Szczególnie dobrze oddał naiwność ich i bezpośrednie reagowanie uczuć tłumu. Dzięki interesującej fabule i zgrabnie podanej fakturze „Dziewiąta fala" zyska niemałą poczytność.

UROCZYSTA REWJA W DNIU 11 LISTOPADA W WARSZAWIE

(fot. Sitkowski).



Pan Marszałek J. Piłsudski przejeżdża przed frontem wojsk.



Mimo ulewnego deszczu i wichury, dzielnie prezentowały się chłopaki ze wszystkich formacyj wojskowych i oddziałów przysposobienia.



Wzruszająca chwila poświęcenia sztandaru ociemniałych żołnierzy.



Mszę polową celebrował biskup polowy, J. E. ks. Gall.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5 50; półroczna 10 50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1 200. ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów; 1 m m 1 szpaltowy zł. 1 50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.